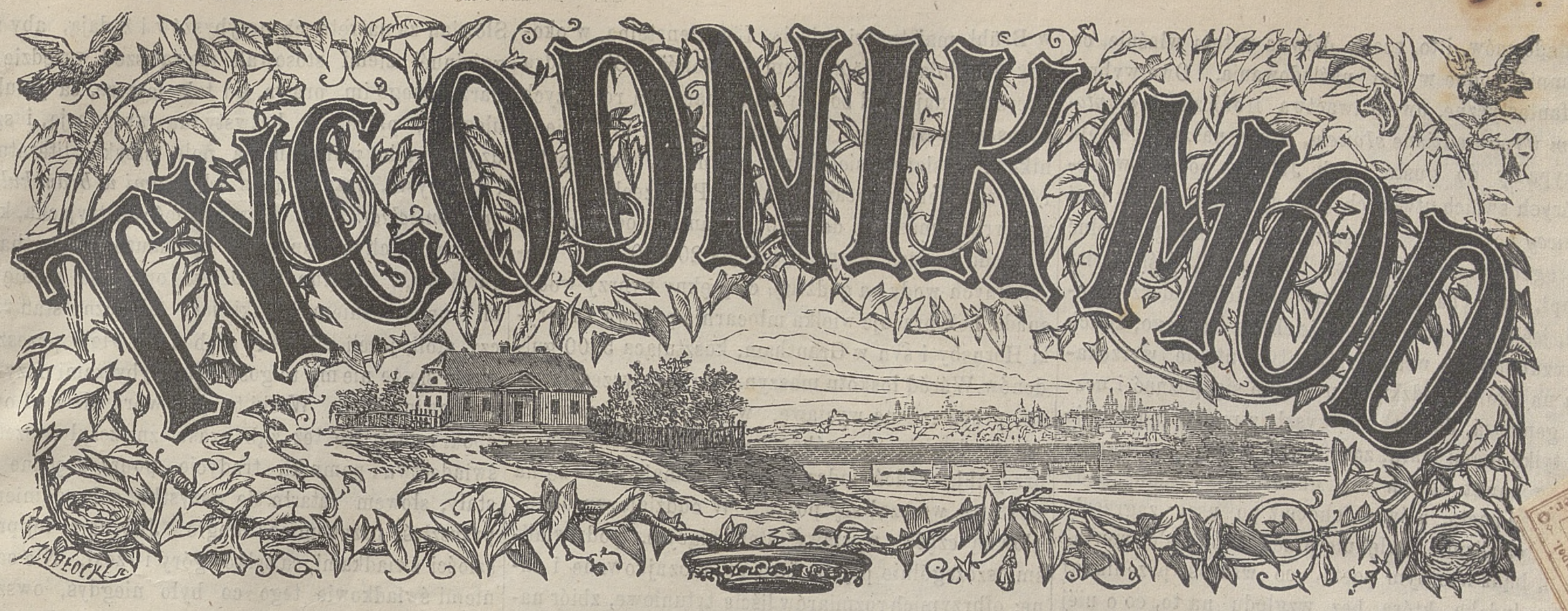
N. 41. WARSZAWA d. 2 (14) Października 1871 ROKU.



TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Przy kołysce.

Aniołeczku! śpij na kwiatach,
Wzmacniaj ciałko swe ich wonią,
A duszyczkę w innych światach.
Kwiaty natchnień niech osłonią.

I wyrastaj w błogiéj ciszy,
W ciszy kształć się moje dziecię,
Niech świat ujrzy cię, usłyszy,
Gdy już będziesz w sił rozkwicie.

Lecz nie wstrzymaj swego kwiatu,
W dnia połowie, w pół rozwicia,
Niech zabłyśnie, tobie, światu,
Pełny, wonny kielich życia.

J. Prusinowski.

SŁÓWKO O POEZYI
W NASZEJ LITERATURZE
przez J. P.

Jest-to faktem powszechnie przyjętym, iż wiek obecny nie sprzyja poezyi; na obszernym horyzoncie literatury powszechnéj, nie postrzegamy ani jednéj gwiazdy pierwszorzędnéj, coby na siebie wszystkich oczy zwracała.

A Wiktor Hugo?

Zapewne, jest to wielki mistrz słowa, a jeszcze większy sztukmistrz w wydobywaniu najfantastyczniejszych efektów z najprozaiczniejszéj treści, ale zawsze to nie Dante, Szekspir, Göthe, Szyller lub nasz Mickiewicz. Elektryzuje swojemi pełnemi kontrastów obrazami, olśniewa jaskrawym kolorytem poetycznych fajerwerków, ale... powiedzmy prawdę, choćby się ta komu podobać nie miała... męczy swoją manierowością, sztucznością, jaka się w każdym jego utworze przebija, nabawia gorączką raczéj, niżeli ukrzepia i podnosi. To zimna analiza dziewiętnastego wieku, ustrojona w płomieniste szaty fantazyi! Nie, upieramy się, Wiktor Hugo, to wielki poeta, a większy może myśliciel, nie znosi ogólnego prawidła, że wiek nasz, nie jest wiekiem poezyi.

I nie może być inaczéj, mówią nam, wiek nasz, to czas bezwzględnego sceptycyzmu, praktyczności, czas ubóstwienia, pod najróżniejszemi postaciami, materyi, epoka tak przedrzyźnionego pozytywizmu.

Każdy geniusz, a w szczególności też poetyczny jeśli pociąga za sobą całe massy, i pełną dłonią rzuca światło przyświecające pochodowi ludzkości, nie mniéj wszakże jest streszczeniem, spotęgowaniem wszystkich elementów współczesnego sobie społeczeństwa. Każda wydatna indywidualność daje wiele, ale jeszcze więcéj bierze ze swojéj epoki.

A cóż weźmie poeta z naszéj epoki? Ujemne pierwiastki życia społecznego nie nadają się do obrazów poetycznych. Tak nam tłomaczą estetycy brak wielkich poetów. Co do nas, bezwzględnie na ten wyrok zgodzić się nie możemy; każdy czas, każda społeczność, choćby najbardziéj była prozaiczna i zmaterializowana, w głębinach swojego ducha ukrywa zarody piękna, a więc poezyi. A choćby i nasza tak osławiona epoka, w któréj dokonało się i dokonywa tyle przewrotów nie tylko w materjalnych stosunkach ludów, ale w świecie intelligencji, czy nie przemawia do wyobraźni poety? a to olbrzymie posuwanie się jawne i skryte, pragnącéj odrodzić się ludzkości, nie zdolne-ż rozpłomienić uśpionéj fantazji twórczéj? Wątpimy. Zkądże ta niezaprzeczona jałowość w dziedzinie sztuk pięknych, a w szczególności poezyi?

Szkoda, że geniusze nie powstają na nasze zawołanie, i pojawienie ich, nie da się oznaczyć według pewnych praw przyczynowości i skutku, wszelako ową jałowość chyba tem wytłomaczyć sobie możemy, iż życie obecne zbyt roznamiętnione, zbyt rozrzucone w celach swoich, aby skrystalizować się mogło w pięknych formach poezyi. Czyny dzisiejsze zbyt są świeże, nie zamarły jeszcze w przeszłości, jak chce wieszcz germański, aby ożyć miały w pieśni.

Jakkolwiek na tę kwestyę zapatrywać się będziemy, zaprzeczyć niepodobna, iż wielkich poetów nie ma dziś na świecie, nie idzie wszakże za tem, aby zbywać miało na piszących wiersze, owszem więcéj ich jest, jak kiedykolwiek, tylko na nieszczęście *ilość* ta *jakości* zastąpić nie może. Bo i któż dziś nie pisze, lub nie pisał wierszy? Dość być młodym i mieć trochę wyobraźni twórczéj, a przy jakiéj takiéj wprawie, zdobyć się można na wcale udatną fantazyę lub wdzięczny obrazek! Dość jakiego donioślejszego wydarzenia, a cały potop rymowanych elukubracyi spłynie na biednych czytelników, a jeszcze biedniejszych redaktorów, którzy je zamieszczać w swoich pismach są częstokroć zmuszeni. Literatura niemiecka, tak bogata w dzieła poważnéj treści, obfituje dziś szczególniéj w rymowaną prozę, gdyż ostatnie tak niespodziewanie świetne zwycięztwa nad Francyą, zbudziły nawet najleniwsze Muzy.

U nas od lat blisko dziesięciu nie masz poezyi, chociaż poetów liczymy zastęp niepośledni. Pod tym przynajmniéj względem nie różnimy się od reszty Europy.

Dla czego wielcy nasi mistrze słowa, zostali, że tak powiem, bezdzietnemi, niełatwo sobie wytłomaczyć, chociaż z drugiéj strony, trudno zaprzeczyć, iż to co jest i jakie jest, wyraźne nosi piętno mniéj lub więcéj udatnych reminiscencyi, którego z olbrzymów naszéj poezyi. Najwięcéj Słowacki zrodził

naśladowców, i to, rzecz dziwna w tem właśnie, co najmniéj godne w nim naśladowania. Owe wybryki fantastyczne, owe dziwactwa ironiczne *brylantowem* wypowiedziane *słowem*, wielu naszym poetom przypadły do gustu. Jak Juliusz poszedł w niektórych swoich utworach w ślady Bajrona, tak nasi *piewcy* poszli za Juliuszem, i daléj bryzgać, pluć i urągać światu! I za co? Miły Boże, jeśli świat głupi, to chyba dla tego, że czyta ich niedorzeczności, jeśli zły i przewrotny, to chyba dla tego, że ich do czubków nie wsadził. Sentymentalne wyrzekania na egoizm ludzki, co nie umie się poznać i uczcić geniusza, dawno już wyszły z mody, posługuje się tylko niemi stara, zacofana szkoła. Dziś geniusze, a nawet talena nie umierają z głodu: bądź *istotnym* poetą, a świat, chociaż po uszy zagrzęzły w materializmie, uklęknie przed tobą, ale powtarzam, bądź istotnym poetą, co wskróś przeniknął naturę ludzką, która bez względu na to, co o niéj mówią i piszą, po wszystkie czasy jedna jest i ta sama, co wtajemniczył się we wszystkie skryte cierpienia ludzkości, przygłuszane namiętnym szałem, lub skamieniałe w trupiéj obojętności na wszystko i wszystkich. Miéj geniusz poety, jakiego duch czasu i jego potrzeby wymagają, pokrzep, wznieś i uszlachetnij ideałem piękna upadającą i chorą ludzkość, a z pewnością, jeszcze za życia stawiać ci będą pomniki.... choćby w głębi serc zmartwychwstałych.....

Że Słowacki zniechęcony był do ziomków, że gorzką ironią odpłacał im ich obojętność, to miał po części słuszne do tego powody, (patrz Małeckiego Życie i pisma Słow.), ale niedowarzeni teraźniejsi *wieszcze*, pozujący na Bajrona, a co najmniéj podrzeźniający Heinego, nie mają najmniejszéj słuszności: są to poczciwcy, którym, jak to się mówi, wcale nieźle, a nawet dobrze się powodzi, ale którym nie chciało się i nie chce czegoś porządnie nauczyć.

Talent czasem jest, ale co talent znaczy bez nauki.

Pomiędzy piszącemi wierszem są wprawdzie u nas wykształceni ludzie, ale ci albo bardzo mało piszą, albo też porzucają formę poetyczną, poznawszy się rychło, i nie mogąc być orłami, wróblami być nie chcą.

Aby nas nie posądzono o jakiś pessymizm, o jakąś niechęć ku *ulubieńcom bogów*, z przyjemnością wyznajemy, że jest kilka imion w naszéj literaturze poetycznéj, które z wielką sympatyą i radością witamy, ilekroć przyjdzie nam spotkać się z niemi. Rzadko jednak spotykamy je na okładkach książkowych, ale zwykle w szpaltach pism peryodycznych tak miejscowych, jak i zamiejscowych. Nie mamy tu na myśli imion znanych, uczczonych oddawna przez naród, ale imiona nowe, po większéj części pseudonymy bardzo wiele obiecujące na przyszłość.

Korespondencja Tygodnika Mód.

(Dokończenie.)

Z Wiednia.

Ale do wystawy powszechnéj jeszcze bardzo daleko; nim nadejdzie, poprzestańmy na pobieżnem rzynajmniéj obejrzeniu wystawy rolniczo przemysłowéj prowincjonalnéj, odbywającéj się właśnie w Brühl, majętności księcia Liechtensteina, w okolicy Wiednia za Mödlingiem położonéj. Oko widza uderza tu najprzód bogaty zbiór narzędzi rolniczych i maszyn wszelkiego rodzaju, pługów i bron, siewników, kosiarek, sieczkarni, młynków, ekstyrpatorów, sikawek, młocarni i t. d. Powszechną uwagę zwraca maszyna do wydobywania wody, ciągle w ruchu będącą, i wydobywająca 20,000 stóp sześciennych wody na godzinę, co piękny tworzy wodospad. Obok pracuje wielka młocarnia parowa z fabryki Hornsby i syn w Grantham, kosztująca 5400 guldenów. Wśród łoskotu maszyn, dają się słyszeć dzwony, przysłane na wystawę, w które od czasu do czasu uderzają na próbę, co niemałym strachem przejmuje niedoświadczonych, mniemających że na wystawie wszczął się pożar. W oddziale wyrobów, główną część wystawy stanowiącym, podziwialiśmy szczególnie piękne fornery, mozajkowane i inne: olbrzymich rozmiarów liście tytuniowe, zbiór naczyń i narzędzi używanych w gospodarstwie mlecznem w Vorarlbergu, a między temi bardzo ozdobne i zgrabne trzewiki drewniane. Znaczną przestrzeń zajmuje jedwabnictwo. W pudełkach i skrzyneczkach poukładane są kokony, jasno i ciemno żółte, szamoa i pomarańczowe, rozmaitych gatunków. Na szczególną uwagę zasługują okazy prób przedsiębranych z mało dotychczas rozpowszechnionym gatunkiem jedwabników, które można trzymać w lasach dębowych. Jeden z właścicieli dóbr w Krainie, zaprowadził u siebie takie jedwabniki i uzyskał z nich 4 centnary kokonów. Hodowanie ich nie jest zbyt łatwe, ponieważ ptaki leśne chciwie pożerają gąsienice tego jedwabnika. Przędza którą dostarczają jest szara, daje się jednak wybornie farbować.

W oddziale poświęconym wyrobom rękodzielniczym, prócz wielu rzeczy nie mających najmniejszego związku z rolnictwem i leśnictwem jak rękawiczki, wyroby bronzowe, kwiaty robione i t. d. widzimy także rzeczy bardzo pożyteczne jak np. aparat do gotowania który się ogrzewa naftą, a na którym z wielkim zaoszczędzeniem czasu i paliwa można gotować, tudzież piec mięso i ciasto. W tym samym oddziale umieszczono niewiedzieć z jakiego powodu prasę drukarską, któréj używał cesarz Józef II.

Pozostają nam jeszcze konie i psy. Koni było kilkadziesiąt, pomiędzy niemi dwa ze stadniny wojskowéj rasy Clydesdalskiéj, niesłychanéj wielkości jak potwory przedpotopowe, wszystkie inne dość pospolite. Pomiędzy psami odznaczało się wiele najszkaradniejszą brzydotą, co u amatorów podobno największéj znaczy. Był także piękny nowofundlanczyk za którego właścicielka, baronowa Greiner żąda tysiąc guldenów; kupi go zapewne cesarzowa wielka amatorka psów i płacąca za nie drogo. Niedawno jakiemuś szlachcicowi, który nie chciał przyjąć od niéj pieniężnéj za psa zapłaty, dała konia arabskiego.

Wspominałem nieraz przy rozmaitych sposobnościach, o widocznym aż nadto przedziale, i namiętnéj częstokroć zawiści jaka panuje w Wiedniu pomiędzy Niemcami, mającymi wszędzie już na mocy swego urodzenia i języka większe znaczenie i pierwszeństwo, a Czechami rozmaitych stanów, zamieszkałymi tu w niezmiernéj ilości, a którzy na polu przemysłu bodaj czy nie stanowią większości, i bodaj czy pod każdym innym względem nie są godniejsi pierwszeństwa i znaczenia. Niemcy, pominąwszy kwestje polityczne, uważają zawsze Czechów, równie jak wszystkich innych w Wiedniu zamieszkałych Słowian za natrętnych przybyszów i żądają, aby na gościnnéj ziemi stosowali się zawsze i wszędzie do narzucanego im prawa, a i tak jeszcze, za potulną uległość, płacą im bezwstydną arogancją, i szydząc z' ich usiłowań na polu sztuki, literatury i przemysłu, nazywają ich *żebrakami u bram kultury niemieckiéj*. Ach.. ta gościnność austryjacka, którą stanowi chyba mnogość garthauzów i garthausgartenów.., gościnność, drogo opłacona pieniędzmi i upokorzeniem. Taki jest faktyczny stan rzeczy, atoli, jeżeli zajrzymy głęboko w wieki przeszłe, okaże się że nie my to gośćmi i przybyszami nazywać się powinniśmy. Wieki te już wprawdzie od owéj epoki minęły, to też ząb czasu zniszczył wszelkie świadectwa i pomniki, tradycje poprzekręcane zostały, słowem zatarło się wszystko, coby odmienną przyszłość przypominać mogło. Jedynemi téj przeszłości świadkami, są tylko góry i rzeki. Nie są to niemi świadkowie tego co było niegdyś, owszem nazwy ich aż nadto dobrze przypominają wieki przeszłe, dla tego też, gdy wód osuszyć, a gór jak stare grody rozwalić nie zdołano, pozmieniano przynajmniéj i poprzekręcano do niepozuania ich nazwy. Niemniéj przeto prawda zostanie prawdą że ogromną przestrzeń dziś niemieckiéj części cesarstwa austryjackiego inne niegdyś zamieszkiwały plemiona, że plemię które dziś tu panuje, nie tu się zrodziło, lecz osiadło na zgliszczach odwiecznych siedzib słowiańskich.

Owoc owych poszukiwań i świeże w tym względzie dowody podaje nam dziełko Ueber die Lage der Wohnstätten des h. Severin, Comageni, Astura und Faviana, badanie historyczno krytyczne przez Aloiz. Ad. Szemberę, profesora literatury czeskiéj przy tutejszym uniwersytecie i znanego zaszczytnie pracownika na polu historji, wydane tutaj niedawno staraniem towarzystwa geograficznego. Od dwudziestu kilku lat historycy wiodą pomiędzy sobą spór oto, czy miasto Wiedeń jest istotnie owem miejscem, które św. Seweryn od r. 454 do 482 zamieszkiwał a jakie żywociarz tego świętego Aegipius nazywa Faviana? Od 450 lat bowiem badacze historji i topografowie nadaremnie szukają dwóch miejsc Astura i Comageni, w których sławny ten mąż osiadł za przybyciem ze wschodu i czas jakiś przebywał. Spór ten wszczął w r. 1845 Ed. Böcking, wydawca Notitia dignitatum w Bonn, a F. Blumberger w Göttweig, Chr. Glück w Monachium i I. Aschbach w Wiedniu, prowadzili go daléj i zapomocą sofistycznych wykrętów i dyalektycznych dociekań doprowadzili do tego, że w ostatnich czasach nikt już nie śmiał bronić starożytnéj tradycji o tożsamości Faviany i Wiednia. Otóż prof. Szembera podjął ten spór na nowo, i na podstawie głębokich badań krytycznych, odparł stanowczo wszystkie zarzuty przeciwników w tym względzie i okazał dowodnie, że Wiedeń jest istotnie starożytną Favianą i jak się zdaje uczony spór zakończył na zawsze. Następnie z całą dokładnością wskazał położenie owych zaginionych miejsc Astura i Comageni. Przy téj to sposobności dowodzi autor zarazem że przedhistorycznymi mieszkańcami niższéj Austrji i krajów z nią graniczących, nie byli Niemcy lecz Słowianie, i że za czasów św. Seweryna wszystka ludność krajowa była słowiańską, wszystkie zaś dzisiejsze nazwy najbliższych okolic Wiednia, Döbling, Weidling, Rodaun, Meidling, Liesing, Tuln, są tylko przekręceniem słowiańskich Doblice, Widule, Raduń, Medlice, Lestnice, Dolina, strumyk zaś Als, jedno z przedmieść Wiednia przerzynający, nazywał się Olszą.

Ani w operze ani w teatrze zamkowym nie grano w ostatnim czasie żadnych nowości. W teatrach przedmiejskich pojawiło się parę nowych fars, lecz o tych wspominać nie warto. W operze dają teraz nowy balet Taglioniego „Fantasca" dawno z wielkim rozgłosem zapowiedziany. Przygotowania do przedstawienia tego baletu kosztowały 120000 złr. przyznać jednak trzeba, że Fantasca nie różni się od wielu innych podobnych widowisk, chyba tem, że wchodzi do niéj mnóstwo tak zwanych obrazów czarodziejskich, których przedstawienie wymaga nadzwyczaj skomplikowanych maszynerji. Balet składa się z prologu i czterech aktów.

W prologu, który się gdzieś w Hiszpanji odbywa lud tańczy lub przypatruje się walce byków, która ma miejsce za sceną. Cyganka (późniéj geniusz światła Serosz) przepowiada głównemu całéj akcji bohaterowi, imieniem Romero, że się ożeni bogato. Tymczasem byk rozjuszony przeskakuje szranki areny i roznosi za sceną postrach, który udziela się i tym co są na scenie. Romero spieszy za kulisy i ku wielkiéj radości ludu, pokonuje zwierza. Fantasca, córka jakiegoś granda, będąc pomiędzy widzami, omdlała z przerażenia. Wyniesiona na scenę, postrzega Romera: gdy się zbliżyli ku sobie, Fantaska chce rycerza wynagrodzić pieniędzmi, on jednak odrzuca worek, Fantasca więc daje mu swój medalion, a bierze na pamiątkę chustkę, któréj w walce używał. Oboje uczuwają ku sobie wzajemną miłość, co w dawniejszym wielbicielu Fantaski Floramurze, obudza zazdrość. Kurtyna spada, zasłaniając przed oczyma widza obraz mamiący bogactwem zarówno strojów i dekoracji jak niemniéj wdziękiem tańczących odalisek.

W pierwszym akcie czarownik Meszaszef, za pomocą tajemniczych zaklęć wznawia końcowy obraz prologu, zachwyca się widokiem Fantaski i postanawia ją uprowadzić. Wspaniałe pochody duchów uzupełniają tę część pierwszego aktu. W drugiéj części widzimy Fantaskę w domu rodzicielskim tańczącą w licznym gronie dziewic, gdy w tem pojawia się Meszaszef porywa ją i unosi w powietrze. Pozostali pogrążeni w rozpaczy, nie wiedzą co czynić: szczęściem tuż za pałacem jest jezioro, w którem mieszka bogini Aquaria, opiekunka nieszczęśliwych. Wywołana z głębi wód oznajmia strwożonym, że ten będzie mężem Fantaski, kto ją wybawi z rąk czarownika. Kilku obecnych rycerzy, między nimi i Romero, wybierają się w pogoń a Aquaria daje im za przewodnika cygankę z prologu, w postaci gieniusza światła. Drugi akt przedstawia las zaczarowany, w którym błądzą rycerze szukający Fantaski, Romero tudzież Flaramur ze swoim masztalerzem Esperonem i inni. Elfy, djabły leśne, błędne światełka i czarodziejskie motyle mamią ich i wprowadzają w obłęd. Esperon i Floramur dostają się nareszcie do jakiejś czarodziejskiej chaty i cieszą się że będą tu mogli odpocząć, ale o tem ani myśleć, dręczą ich bowiem rozmaite zjawiska. Cała chata zdaje się być żywą — wszystkie sprzęty ruszają się — głowy kapusty, buraki tańczą, myszy i szczury biegają. W końcu łóżko na którem śpi Floramur, zamienia się w wannę pełną gorącéj wody, a z góry spada obfity strumień deszczu.

W trzecim akcie jesteśmy pod biegunem północnym i mamy sposobność podziwiać piękny taniec Eskimosów. Floramur i Esperon znowu dają się uwodzić rozmaitemi sztukami czarodziejskiemi, podczas gdy Romero, trzymając się wiernie geniusza światła, opiera się mężnie wszystkim mamidłom i pokusom i wszystkie przeszkody przezwycięża. Okolica podbiegunowa zamienia się nagle w tropikową, gdzie króluje Meszaszef. Fantaska leży smutna, gieniusz światła przybliża się i przyprowadza do niéj Romera, zaczem oboje zaczynaią tańczyć z radości. W tem pojawia się Meszaszef z niewolnikami swymi i przerywa czarujące pas de deux. Amazonki Meszaszefa wykonywują prześliczny taniec wojenny. Floramour i Esperon pojawia się, co Meszaszefa wprawia w oburzenie. W czwartym akcie Romero dostaje od jednéj z faworyt Meszaszefa miecz carodziejski i dowiaduje się, że właśnie jest sposobność zamordowania czarnoksiężnika. Na scenę wchodzi orszak przepyszny mający być świadkiem zaślubin Meszaszefa z Fantaską. W tem wpada Romero z zaczarowanym mieczem, zabija smoka pełniącego straż przy Meszaszefie a faworyta zabija Meszaszefa. Wszyscy stoją jak skamieniali z przerażenia. Ukazuje się geniusz światła a niewolnicy cześć mu oddają.

W końcu wśród wirów tanecznych dokonuje się połączenie Romera i Fantaski, a w ostatnim obrazie widzimy wspaniałe mieszkanie wieszczki Aquarji i jéj cały dwór, trymfujący z powodu odniesionego nad czarownikiem zwycięztwa.

Taką jest mniéj więcéj treść pantominy połączonéj z tym baletem. Treść w ogóle nie zbyt ciekawa i nie bardzo oryginalna. Nadzwyczajna świetność dekoracji i strojów, piękne tańce i niezła muzyka, główne baletu warunki, czynią jednak to widowisko dosyć zajmującem, a tak Fantaska zapewne długo utrzyma się w repertoarze.

Przegląd literacki

Czytamy w N. 209 z r. b. Gazety Warszawskiéj, artykuł następny pod tytułem: *Seweryna z Żochowskich Pruszakowa.* „Czasopismo Berlińskie. „*Magasin für die Literatur des Auslandes*" w N. 23. r. b. zamieściło artykuł zwracający uwagę czytającéj niemieckiéj publiczności na powyższą autorkę, któréj prace literackie nietylko u nas, ale i za granicą, doznały zasłużonego przyjęcia. Pobudką do napisania artykułu z tytułem: „*Eine polnische Dora d'Istria.*" był raport odczytany, przez francuzkiego uczonego *Emila Hervet* na posiedzeniu paryzkiego Towarzystwa Geograficznego w d. 15 Marca 1869 r. o pracach poetyckich i naukowych tak oryginalnych jak i przekładach pomników literatury francuzkiéj, angielskiéj, hiszpańskiéj, węgierskiéj, niemieckiéj i skandynawskiéj p. Pruszakowéj, w uznaniu zasługi i znaczenia których, mianowaną została członkiem stałym tegoż Towarzystwa. Raport ten przełożył w roku bieżącym jeden z literatów węgierskich p. *Pollak-Lippol*, który w równie życzliwych słowach skreśla jéj zasługi. Inaczéj wszakże, bo z chłodem i obojętnością, odzywa się p. M. St. o pracach naszéj autorki, porównawszy ją na początku, do Dory d'Istria (Heleny z książąt Ghików Massalskiéj), która pierwsza, mianowana została członkiem Towarzystwa Geograficznego, i swymi pracami naukowemi otworzyła wstęp innym kobietom do tego uczonego zgromadzenia, czyni jéj różne zarzuty. Tak zarzuca pani Pruszakowéj, jak i wszystkim naszym pisarzom: „iż kształcąc się według jego przekonania na produktach duchowych germańskiego pochodzenia, uchylają się późniéj z pod ich wpływów, a zwracając się do Francji jéj literaturą żyją, jéj badania i postępy naukowe, wszystkiemi swoimi siłami popierają.

„Otóż w tem leży główny powód, o ile nam się zdaje, owéj niechęci, z jaką p. M. St. ocenia osobę Pruszakowéj i stanowisko jéj na polu literatury europejskiéj. Tak ona, jak i większość naszych znakomitych autorów, ukształcenie swe nie niemieckiéj lecz raczéj swojskiéj, a w części francuzkiéj literaturze zawdzięcza. Pisarze niemieccy mylą się, gdy sobie wyobrażają, że obce narodowości, a pomiędzy niemi i my także, kształcą się jedynie na literaturze germańskiéj, i jéj duchowym pokarmem tylko żyją. Jest to błąd, który się staje powodem mylniéjszych jeszcze zdań i wniosków. Oto p. Pruszakowa np. do roku 1847, czyli do epoki, w któréj jako poetka wystąpiła na obszerniejszą widownię zawodu pisarskiego, żadnéj styczności z literaturą germańską nie miała, a tem samem żadnego wpływu, owa literatura na jéj umysł wywierać nie mogła. Dopiero w podróżach swoich miała sposobność poznać znaczniejsze utwory niemieckich pisarzy, a przekładami licznemi ich prac poetyckich na nasz język, najlepiéj zdaje nam się dowiodła, jak ich cenić umie."

Korzystamy z téj sposobności, ażeby przypomnieć więcéj szczegółowo zasługi i pracę téj autorki, która od początku istnienia naszego *Tygodnika Mód* jest stałą współpracowniczką, i zasila go bez przerwy utworami swego znakomitego pióra. P. Seweryna z Żochowskich Pruszakowa od młodu głównie a rzec możemy wyłącznie żywiła się literaturą francuzką, czując jednakże potrzebę wykształcenia więcéj naukowego, pragnąc mieć cel wytknięty w pracach swoich, zawezwała pomocy K. Wł. Wójcickiego, pod którego kierunkiem, i idąc za radami jego rozpoczęła przedewszystkiem mozolne studja nad literaturą polską, szczególniéj XVI wieku. Jak benedyktyni średnich wieków, autorka nasza, porzuciwszy ulubioną literaturę francuzką a głównie też pisma pani Sand, któréj była wielbicielką i pragnęła naśladować, z żelazną pracą odczytywała dzieła najznakomitszych pisarzy z XVI stulecia, a zarazem badała poezję ludową i jego podania, Trzy lata bez przerwy poświęciła téj twardéj dla siebie nauce, ale przez nią przyszła do władania po mistrzowsku rodzinnym językiem. Téj szaty ozdobnéj, dla bujnéj a pełnéj poezji swéj myśli, potrzebowała pani Pruszakowa, to też kiedy *Biblioteka Warszawska* wydrukowała jéj poemat: *Sebastian Klonowicz* bezimiennie. *Gazeta Warszawska*, niewahała się przyznać jego autorstwa' Władysławowi Syrokomli, lubo późniéj wydany *Acernus* tego poety, niewytrzyma porównania z utworem naszéj autorki.

Wszedłszy już na drogę poważnéj nauki, sama łatwo oceniła potrzeby duchowe do dalszego postępu. Wyuczyła się po angielsku — a następnie w podróżach po hiszpańsku i po madziarsku.

Nie masz prawie gałęzi w literaturze naszéj którą by nie zbogaciła. Zbiory jéj poezji, poematów i drobniejszych utworów oddzielnie wydane znane są publiczności czytającéj, zarówno jak jéj *próby dramatyczne.* Do najważniejszych jednak prac zaliczamy. XV tomów *Rozrywek dla młodocianego wieku*, w których najwięcéj utworów saméj redaktorki znajdujemy. Jest to publikacja, która godnie zastąpiła niezapomniane: „*Rozrywki dla dzieci*" Klementyny Tańskiéj.

Dzieło to, obejmujące tyle różnorodnych prac dostojnéj autorki, daje nam poznać zarówno jéj naukę, głębokie studja, jak znakomity talent pisarski i poetyczny. *Rozrywki*, były jakby pierwszym wstępem na drogę poważnych prac literackich pani Pruszakowéj, po nich bowiem ukazały się przekłady dzieła *Eichoffa*, (¹) *Historja Węgier*, w oddzielnych książkach, w *Bibliotece Warszawskiéj* mistrzowskie tłumaczenia pieśni o *Cydzie* i pieśni o *Rolandzie.* Nie możemy pominąć z oryginalnych utworów poematu p. n. *Elżbieta Drużbacka.*

Obecnie w tymże samym piśmie co miesiąc nadsyła sprawozdania literackie p. n. to *Kroniki Paryzkiéj*, to *Kroniki Zagranicznéj* literackiéj, naukowéj i artystycznéj, w któréj mamy zebrane zajmujące wiadomości o najnowszym ruchu umysłowym tak Francji, Niemiec, jako i z krajów słowiańskich. Zebrane prace razem wynosiłyby do 50 tomów sporych i przyznać musimy, że żadna z piszących kobiet naszych, nie oddała tyle zasług przeważnych literaturze w każdéj prawie jéj gałęzi, co pani Pruszakowa. Nie wymieniamy tu poszczególe utworów téj autorki — zwracamy tylko uwagę że bibliograf spisem ich niejedną stronnicę swego dzieła zapełni.

J. K. G.

---

[1] Obraz literatury średniowiecznych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców. Warszawa 1856 dwa tomy.

Pogadanka.

Jesień nie ciekawa to pora, wprawdzie mniéj ciekawem jest nieporozumienie właścicielki Opiekuna domowego z byłym redaktorem tego pisma, kto pierwszy nos skrzywił i zerwał stosunki, a jakie podobało się Kurjerowi Warszawskiemu, aż w trzech artykułach uwiecznić drukiem, zawsze jednak i jesieni ciekawą nazwać nie można. Zmienna, wietrzna, czasem mroźna lub słoneczna, a nudna jak międzyakta w tutejszych teatrach, nie darzy nawet dogodnościami, jakie z nich tak obficie spływają na publiczność warszawską. W między aktach zwykle pół godziny trwających, a czasami i trzy kwandranse, można dobrze podjeść, nieźle podpić, ugadać się do woli ze znajomemi, wyziewać od ucha do ucha, nawet zdrzemnąć niezgorzej: w jesieni na ulicach i tego nie użyje. Wiatr, deszcz, zimno goni każdego w miejsce osłonięte, a odgoni od przekupnia z owocami, rozgoni spotkanych najlepszych przyjaciół, wygoni z ławki ogrodowéj, a jeżeli chcesz ziewnąć to ci wgoni w usta garść kurzu, wiązkę zeschłych liści, albo taką porcję zimnego podmuchu zefirka, że go aż w piętach poczujesz.

Jesień więc teraźniejsza zapomniawszy o babiem lecie, kwaśna jak owoce zapełniające kramy i stragany Warszawy, nudna, ckliwa jak wiele dowcipów pism nasych humorystyczno-satyrycznych, niewarta.... ot łebka od cygara....

Nie sądźcie jednak abym jéj przez to zbytecznie ubliżył: z rodzajem do którego jesień należy, jestem zawsze na stopie wielkiéj etykiety. Łebek od cygara rzecz niby marna, deptana, poniewierana i rzucana u nas na ziemię jak drobnostka niegodna opieki, a jednak w Węgrzech w masie swéj wytwarza potęgę godną zazdrości. Utworzony komitet w Presburgu przyjmuje przesyłki łebków cygarowych z całego Królestwa, z których widać ani jeden nie ginie, żaden nie jest lekceważony zarówno w skromnym domku jak bogatym pałacu, zarówno pod dachem jak na ulicy, skoro nadsyłki ich są tak liczne i obfite, że łebki te przerobione na tytoń i przedane, dostarczają funduszu na utrzymanie czternastu młodzieńców w jednym z wyższych zakładów naukowych. Co tu więcéj podziwiać, czy dobywanie funduszu z nowego zupełnie źródła, czy użycie go tak pożytecznie — nie śmiem wyrokować. Wiem tylko że pomysł ten u nas nie udał się, chociaż fabryki tytoniu coraz nowsze powstają, i miljony cygar kraj codziennie na dym i popiół obraca.

Gdyby Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, chciało zająć się tym nowym przemysłem i gorącą odezwą zachęciło do zbierania łebków cygarowych: gdyby wyjednało przytem bezpłatne przesyłanie ich wozową pocztą i kolejami żelaznemi pod adresem Towarzystwa, to sądzimy że łebek cygarowy w kraju całym nabrałby szacunku jakiego dziś nie posiada.

Nie ubliżyłem zatem jesieni wartość jéj tak małą oznaczając rzeczą, a jeżeli roznosiciele pism perjodycznych może niechętnie przyjmą wyjaśnienie gromu jakim w nią uderzyłem, z obawy bardzo uzasadnionéj, aby uzuchwalona chwilowéj pogody na zamieć śnieżną nie zamieniła, to niech mi przebaczą. Zadzierać z nikim nie lubię, nawet z jesienią.

Zwrot ten do téj tak ważnéj a pożytecznéj redakcyjnéj służby ma swoje powody. Z powstawaniem pism nowych zastęp roznosicieli zwiększa się i przemienia w stan poważny, bo roznosi ważne po mieście nowiny, i poważne prace niemniéj poważnych literatów. Zaczepiać więc go troszkę niebezpiecznie: powaga zawsze skora do gniewu a czasem do odwetu zwłaszcza gdy ma łatwość do tego.

Kolce dwutygodnik już z pierwszym numerem przedstawił się publiczności ze swoim kolącym dowcipem. Wieniec przygotowywa się w cichości na noworoczne wystąpienie, to samo Figaro pismo codzienne, Goniec ranny ptaszek o ósméj rano mający wychodzić, wreszcie i Niwa dwutygodnik naukowy, literacki i artystyczny. Jakkolwiek powstawanie każdego nowego pisma perjodycznego witamy zawsze chętnie i życzymy mu szczerze najlepszego powodzenia, to dla Niwy radzibyśmy podwójną wyjednać opiekę i w piszących i w jak najliczniejszym zastępie czytelników i prenumeratorów. Literatury lekkiéj mamy dosyć, polityki gazeciarskiéj sypiącéj tysiącem rozumowań na podstawie: *zapewne*: *podobno*: *mówią*, wyżéj uszów i czubka głowy. Humorystykę uprawiają trzy pisma, powieści wszystkie jakie wychodzą, a naukę jedna tylko Biblioteka Warszawska i to z poświęceniem dla powieści znacznéj części każdego miesięcznego poszytu. Niwa więc będzie bardzo pożądaną, a nadzieją jéj powodzenia jest zastęp młodych, chętnych i zdolnych pracowników, jaki się zgromadził do składu redakcji pod głównem zwierzchnictwem p. Juljana Schönmana magistra filozofji i kandydata prawa. Jeżeli młodzi ci pracownicy zabiorą się do pracy z prawdziwym zapałem, jeżeli więcéj cenić będą korzyść ogółu jak własną, jeżli chroniąc się zawiści, niechęci osobistych, tworzenia koteryjnych kółek, przedewszystkiem służyć będą prawdzie i nauce, to możemy wróżyć Niwie wielkie powodzenie, bo nam właśnie takiego organu brak najzupełniej.

Przy innych pismach nie zbyt dawno otwartych, młodych współpracowników dosyć się pomieściło. Są pomiędzy nimi pobłyski talentu i zdolności, nie brakuje także dobrych chęci i pragnień jak najszlachetniejszych, ale brak jednéj najważniejszéj rzeczy, chęci do szczeréj i sumiennéj pracy. Młodym tym pisarzom zdaje się, że dość umieć gładkiemi słowami układać zręczne perjody, dość mieć myśl dobrą lub odwagę wypowiedzenia własnych przekonań bez żadnéj ogródki, aby nabyć prawa do tytułu literata. Zapominają, że wszystko to jakkolwiek stanowi w piszących arcypożądane przymioty, jest dopiero narzędziem dla myśli, która aby umiała niem rządzić i rozumnie i pożytecznie, musi ciągle kształcić się przez czytanie i naukę, jednéj chwilki nie zmarnotrawić bez pożytku, iść bez przerwy, bez wytchnienia, razem z rozwojem cywilizacyjnym, ręka w rękę i ciągle naprzód i naprzód! Chwytanie tu i owdzie różnych wiadomości i wiadomostek, słówek i półsłówek, dorywcze czytanie tego i owego, nie jest kształceniem się tylko otumanianiem samego siebie i mniéj ścisłych spostrzegaczy. Młodzież o któréj mowa właśnie tą drogą postępuje, niby coś umie a nic w rzeczywistości.

Zna niby potroszku literatury obce z przeczytania kilkudziesięciu romansów przy nauce języka: umie w razie danym przytoczyć głośniejsze imiona poważnych cudzoziemskich myślicieli, a nie zna własnéj literatury już nie mówię dawniejszéj, ale nawet z bieżącego stulecia. Nieznajomość ta jest tak wielką, że aż razi, że nawet nie może być pokrytą zręczną *blagą* posługującą im w innych wypadkach arcy wybornie.

Następstwa z tego niezmiernie smutne: oto wstrętna dla wszystkich zarozumiałość, rzucanie się na opinje tysiąców jedynie dla tego że je tysiące głów wytworzyły, występowanie z paradoksami często śmiesznemi a zawsze niedorzecznemi, gwałtowne pragnienie rozgłosu, poklasku, sławy, a niepohamowana niczem zazdrość uznania zdobytego przez starszych pracowników zarówno talentem jak pracą. Mają jednak jedną piękną stronę godną pochwały, oto chęć mówienia prawdy, unikania pochlebstwa i pobłażania a nie oszczędzania niczego ani nikogo czy to całéj społeczności, czy jednostek choćby najbardziéj szanowanych. Wprawdzie niektórzy powstają na zuchwalstwo młodości, ośmielającéj się szpakowaciznie lub siwiznie dawać rady i morały, ale wtem nie mają słuszności. Rozumne zdanie, sąd lub opinja zawsze takiemi pozostaną, bez względu kto je ogłosił, czy dziecko kilkonastoletnie, czy mędrzec pochylony wiekiem. Nie pytajmy więc kto mówi, ale co mówi, czy rozumnie i zgodnie z sumieniem. Otóż oto najtrudniéj u młodych owych pisarzy. Tytuły artykułów bardzo obiecujące, ale w nich pustki przeraźliwe i szamotanie z motyką na słońce; co słowo bezstronność w ustach, a najstraszliwsza koteryjność i niechęć ukryta dla wszystkich co już zaskarbili dla siebie publiczną uwagę! Czy to literat, czy artysta dramatyczny, czy książka lata mozołu naukowego kosztująca, czy praca długoletnia nic to ich nie powstrzyma w krytycznym zapędzie, na wszystko się rzucą, sponiewierają, ośmieszą, i stanowczo zawyrokują o tem czego nie znają z gruntu, a czego nawet poznać jako-tako nie postarali sie. Ten brak sumienności w owem młodem pokoleniu pisarzy, smutnym jest niezmiernie objawem. Z zarozumiałości może wydobyć czas, doświadczenie i mus czytania choć pobieżnego: braku sumienności już w młodym pisarzu nic nie zapełni, a nawet przeciwności życia i zawody wzmogą go i rozwiną.

Podnoszę więc do was młodzi towarzysze pisarskiego zawodu nie słowa rady, bo wiem żebyście ich nie przyjęli, ale serdeczną gorącą prośbę, któréj dajcie posłuch, przez wzgląd nie na proszącego z którym możecie się obchodzić jak się wam podoba, ale na sprawę któréj służycie. Otóż piszcie kiedy już gwałtem zaprzęgliście się do pióra, ale czytaniem starannem kształćcie myśl waszą, uszlachetniajcie pojęcia, pogląd rozszerzajcie, a w wyrokowaniu o czemś lub o kim, starajcie się rzecz poznać z gruntu, nie pobieżnie, nie z posłuchu, nie ze zdań tu i owdzie pochwytanych, ale z własnéj pracy, z własnego trudu i mozołu, i sąd wtenczas wyrobiony przez was, choćby najsurowszy, najnieprzychylniejszy, objawiajcie bez ogródki, śmiało i otwarcie, byle ze skromnością przynależną młodości, nie z tem pałaszowaniem pióra zakrawającem na nieomylność. Poznajcie przytem całą naszą literaturę, od początku aż do dnia dzisiejszego, choćby tylko w działach lepszych stanowiących jéj chlubę, bo chcąc piórem popychać ją naprzód, trzeba przecieć znać jéj dzieje, co już rozwinęła, dokąd doszła i na jakie wreszcie weszła drogi. Ze społecznemi zaś kwestjami zatrzymajcie się aż do dojrzałości; rzucajcie myśli, szkice ale ich nie rozwijajcie, zbyt to ciężkie jeszcze zadania na wasze młodzieńcze barki.

DROBNE SZCZEGÓŁY Z ŻYCIA MUZYKÓW.

Podczas kongresu wiedeńskiego w r. 1814 i 1815 bawiło w stolicy Austryi bardzo wiele znakomitych w sztuce mężów, których cesarz Franciszek zgromadził umyślnie, aby za ich pomocą uprzyjemnić pobyt monarchom, naradzającym się nad uporządkowaniem stosunków europejskich. Raz mówiono na dworze cesarskim o sławnym skrzypku Clement, o zdumiewającéj biegłości z jaką władał smyczkiem, o dziwnem wrażeniu jakie sprawiał na słuchaczach. Cesarz rosyjski Aleksander, wielki lubownik muzyki oświadczył, że radby usłyszeć tak zachwalonego muzyka, zaraz więc nazajutrz Clement został wezwany do dworu. Gdy się koncert rozpoczął a Clement nie przychodził, cesarz Franciszek pytał niespokojnie swoich dworzan co się z nim dzieje. Szambelan pełniący służbę odpowiedział cesarzowi, że Clement jest od godziny w sali bocznéj, ale wejść nie śmie, ponieważ nie ma skrzypców. Skrzypce mistrza powędrowały przed kilkoma dniami do tandeciarza, a nie było funduszu na inne. Cesarz posłał mu czemprędzéj przepyszne skrzypce, z któremi Clement wszedł natychmiast do sali koncertowéj. Gra jego rzeczywiście zachwyciła wszystkich, a cesarz Aleksander, chcąc mu się wywdzięczyć za doznaną przyjemność, dowiadywał się jaki dar byłby dla niego najstosowniejszy. Powiedziano casarzowi w jakim kłopocie Clement znajdował się niedawno z powodu braku skrzypców, zdawało się więc monarsze że najstosowniej będzie obdarzyć go skrzypcami. Jakoż wyborne skrzypce na których grał, stały się jego własnością.

W tydzień potem Clement otrzymał znowu zaproszenie na koncert u dworu odbyć się mający. Poszedł w czasie właściwym, i tym razem przyniósł skrzypce ze sobą, ale nie te które niedawno otrzymał od cesarza. Już od dni kilku były one tam gdzie i wszystkie ich poprzedniczki to jest u tandeciarza. Koncert powiódł się wyśmienicie, wszyscy byli zachwyceni, zdumieni. Gdy Clement zabierał się do odejścia, cesarz Aleksander zbliżył się do niego i szepnął mu do ucha: Kochany Clement, dzisiaj poszlę ci podarunek w pieniądzach, bo gdybym za każdym razem chciał ci darować skrzypce, może wkrótce zabrakłoby ich w Wiedniu.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066k) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

Tom 1.

W roku 1866, właśnie w chwili gdy wojna między Austrją a Prusami wybuchnąć miała, rozpoczynał się niemal sezon u wód galicyjskich pod Tatrami, a gospodarze domów, właściciele hotelów, wszyscy, co nawykli rachować na przybycie gości z różnych stron świata, trwożyli się niezmiernie przewidując, że im ten nieszczęśliwy skład okoliczności szyki pomięsza — nikt czasu wojny i ofiar jakie ona za sobą prowadzi, nie ma wielkiéj ochoty ruszać się z domu, często też możności braknie. Przecięte drogi, utrudnione komunikacje przyczyniają się też do przytrzymania każdego we własnym kącie. Lecz że choroba nie folguje, a rozkazy lekarza są wyrokami śmierci lub życia — suną się i ciągną do wód ci, co muszą. Tacy znowu goście dogodni dla apteki, lekarzy, a może nawet i hotelów, najmniéj z sobą przynoszą materjału do życia społecznego i zabawy. Szczęście to jeszcze wielkie, jeśli chory jest już tak chorym, że się bez opieki obejść nie może, naówczas podejmują się jéj zwykle najmłodsi najsilniejsi zarazem, służąc biednym ciociom, wujaszkom, dziaduniom lub babciom, — i o sobie nie zapominając. Wiadomo powszechnie, że młodość ma swe prawa, których nawet częstokroć nadużywa.

W tym roku, może i strach wojny chorób napędził, dosyć że mimo smętnych przeczuć gospodarza domu pod Różą — które podzielał właściciel hotelu Warszawskiego i inni różnych dworków posiadacze, pod Trębaczem, trzema Sosnami, dwoma Czyżykami, czterema Grzybami itp. — w porze właściwéj, gdy już miały grzmieć działa i wojska się przesuwały około Ołomuńca — goście poczęli sunąć się zewsząd do Krynicy, domy się powoli wypełniały — i nie było wcale tak pusto, jakby się lękać i spodziewać z owych groźnych konjunktur należało.

W ten cichy zakąt, do którego wojna z pewnością się docisnąć nie mogła, gdzie każdy czuł się bezpiecznym — do którego tak złe prowadzą drogi, że niemi działa ani piechota, bez szwanku by się dostać nie potrafiły — chociaż Galicianie nawykli do nich cało jakoś przejeżdżają — zsuwali się zwolna ludzie chorzy, przestraszeni, odpoczynku i ciszy potrzebujący, wreszcie ci, co niewiedzieli co z sobą począć, nie mając otwartego Ems, Wiesbaden, Homburg.

Przybywali tu i tacy, którzy w szczęśliwszych czasach powędrowali by byli, potrzebnego im żelaza rozpuszczonego w wodzie szukać daléj, przyprawnego po niemiecku, ale że tam właśnie kulami świstano — woleli pić domową wodę z bezpieczeństwem, że się przy niéj z innem żelazem, nie przepisanem przez lekarza — nie spotkają.

Krynica, Żegestów, Iwonicz, Szczawnica mimo tych piekielnych dróg do nich wiodących, na których łatwo karku nadkręcić — otwierały gościnne podwoje coraz nowym przybyszom, witanym z niekłamaną radością. Towarzystwo było nieco zmięszane — ale u wód wiele się nie wymaga, o tem nawet Anglicy są przekonani. Kontyngensu jak zwykle dostarczyła Galicja; sąsiednie królestwo, a z Prus co się na wprost dostać nie mogło — konieczanie postanowiwszy przywędrować, jechało na Warszawę. Nie wiem o ile chorym ówczesne wypadki przy piciu wody szkodziły lub pomagały — zdrowi mieli tę pociechę, że każdéj poczty oczekiwali z ciekawością niezmierną, z niecierpliwością gorączkową, a w chwilach wolnych od gazet puszczali wodze domysłom — co z tego na świecie wypaść było powinno i jak się to skończyć miało? Zdania były wielce podzielone, ale kto sobie rok ten przypomina — przypomni też, że nikt nie odgadł końca.

Już spora kupka gości w dnie pogodne przechadzała się po deptaku co rana, przysłuchując się popisom muzyki której repertuar zmieniał się o tyle o ile speiscettel pod Różą, — nie psując uszów zbytnią rozmaitością — już grono poważne przyzwoitych osób napawało się zapachem rezedy obficie zasianéj w ogródku przy źródle, gdy jednego dnia zjawił się tu *homo novus*, który powszechną pań i mężczyzn zwrócił uwagę.

Był to młodzieniec słusznego wzrostu, bardzo pięknych rysów twarzy, fizjognomji szlachetnéj, postawy nader szykownéj — mogący mieć lat dwadzieścia i kilka, pod trzydzieści — ubrany z jak największym smakiem i w ogóle zdradzający powierzchownością swą, obliczem, ruchami, człowieka z téj sfery towarzyskiéj, która do *high life* Europejskiéj należy. Nikt ani na chwilę nie wątpił zobaczywszy go, że to jest potomek Potockich lub Zamojskich, lub jednéj z tych historycznych rodzin starych, które dotąd dawnéj zamożności nie straciwszy, na stopniu rodowi właściwym utrzymać się przez nią potrafiły.

Ludzie pewnego oka, z małych oznak umiejący się domyśleć wszystkiego, naturaliści salonowi co z pierścionka odbudowują mastodonta wielkiego świata — zaręczali od razu i gotowi byli się zakładać nawet, grubo — iż przybyły musiał być co najmniéj hrabią P. — hrabią Z. — jeśli nie księciem L. księciem S. i. t. p. O nazwisko nie szło, ale o rodzaj i gatunek, do którego zaliczyć się miał ów zjawiający się młodzian piękny, dystyngnowany — *très comme il faut*. W prawdzie jak trudno dziś łyżkę srebrną rozpoznać od Christophlowéj i Ruolzowéj, — tak nie łatwo fabrykaty tego rodzaju odróżnić od prawdziwych owoców czasu i drzew genealogicznych, ale naturaliści salonowi, nawet w braku cech i oznak mają cudowny a nigdy niemylący instynkt, — poczucie rodu. Jest to u nich *gratia status*. Wszyscy zaręczali, że to był pan najczystszéj wody. Najzuchwalsi, ważyli się nawet i nie narzucać, wynikłe z kombinacji ruchów różnych znakomitości, — najzręczniejszy wszakże poszedł naprzód do biura, w którem się zwykli byli zapisywać podróżni — i tam cichaczem się coś myślał dowiedzieć.

Podróżny, mówił sobie — nie mógł dawniéj przybyć jak wczora, wczorajsi zaś już musieli być zameldowani miejscowemu zarządowi. W książce znalazł ciekawy, Chaję Ajzyk, kupcowę z Brudow, z Chaną Gurgich siostrzenicą, i Aaronem Pekfiszem (oczywiście Pekfiszem nieznajomy być nie mógł), następnie radzcę Fryderyka Gotlieba Müllera (niewyglądał na urzędnika wcale), — hrabinę Elizę Maulhorn z baronów Przerętskich z kuzynką Adelą Ernestyną Federzeug — w ostatku pana Gabriela Pilawskiego, obywatela z Warszawy. Oczywiście i tym Pilawskim obywatelem z Warszawy, na żaden żywy sposób nie mógł być arystokratyczny ów młodzian, chociaż z Warszawy — bo nazwa pana Gabriela Pilawskiego zdradzała bruk miejski i pochodzenie plebejuszowskie, w najlepszym razie mógł to być ledwie drobny szlachetka — ten zaś pan musiał należeć do najlepszego świata. Mówiło zanim wszystko a wszystko aż do skromności angielskiéj w ubiorze i cudownego kraju jego niezaprzeczenie londyńskiego bonjourka. Ciekawi, przechodząc mimo rozpoznali, iż tkanina, z któréj był zbudowany z Brün w Morawii pochodzić nie mogła. Laseczka też, którą nosił w ręku — laseczka pełna szyku nie podobna by pochodzić miała z innego jak najpierwsze magazyny w Europie, a nieużywał by jéj z takim smakiem, tylko człek urodzony, by czuć i oceniać piękno we wszystkiem — nie wyjmując ani trzewika ani czapki. Ludziom pospolitym trafi się mieć coś jednego, niczego, umiejący się szanować posiada tylko wytworne rzeczy. Pudełeczko do zapałek u niego jest artystycznie wykończone, niewidzialne sprzączki są patentowanemi wyrobami — kto się szanuje, jest w tem nieubłaganie ścisłym. Takim się własnie wydawał ów nieznajomy.

Zobaczywszy spis przybyłych, bystry ów badacz tajemnic Krynickich — który wziął na siebie dośledzić przybylca, i — przekonany że nieznajomy gość jeszcze zameldowanym nie był — poszedł, jak nazywał — dotrzeć. Dotarciem zwało się wyśledzenie wprost mieszkania jego — poczem już reszta informacji pójść miała jak z płatka.

Lecz spikają się czasami okoliczności nieprzyjazne na ludzi zbyt ciekawych. Młodzieniec właśnie wypiwszy ostatnią szklankę wody, założył ręce w tył z ową laseczką i — poszedł sobie — w góry! Gdzieś jakby do posągu N. Panny, albo nawet jeszcze daléj. Badaczowi, drapanie się tak wysoko za nieznajomym, na czczo, po to tylko, ażeby może znowu zdrapywać się nazad i to napróżno, bo mogła mu przyjść fantazja spaceru samego — wydało się zupełnie niepraktycznem. Wstrzymał zapęd, wsiadł na ławce u zdroju i tu postanowił czekać powrotu. Nie doczekał się go wcale jednak tego dnia, znać wędrowiec inną sobie jakąś obrał drogę. Ciekawiec wrócił zawiedziony i kwaśny pod Trębacza. Takie niepowodzenia zwykło wszakże tylko dodawać ochoty i odwagi dla przezwyciężenia spikującego się losu.

Nazajutrz pruszył deszczyk — ale wytrwały badacz pod parasolem, po śliskich drożynach odbywał zawczasu straż pilną, oczekując na nieochybne ukazanie się nieznajomego.

Deszcz nawet był na ten raz sprzymierzeńcem dobrym, gdyż zabezpieczał od nowéj w góry wycieczki. Zdala ujrzał go już przybywającego, a z kierunku domyślił się, iż nie mógł gdzieindziéj stać

tylko pod Różą, w téj bowiem stronie nie było żadnego innego większego hotelu, a jużciż człowiek tak dystyngowanéj powierzchowności nie mógł stać w lada dziurze.

To nieulegało już wątpliwości i parasol skierował się do hotelu. W hotelu stosunki przyjazne, znajomość jeszcze krakowska z samym naczelnikiem instytucji — ułatwić miały dośledzenie prawdy. Gospodarz pilnując aby goście byli czasu kawy po wodzie usłużeni w porę, kręcił się już we fraku u wnijścia. — Dzień dobry panu!-rzekł badacz zbliżając się.

— A! dzień dobry!

— A cóż? a cóż? gości chwała Bogu u pana dosyć?

— No, tak! są — są.. tak! goście — ale jacy goście?-zżymnął ramionami gospodarz.

— A jakich że byś pan sobie życzył?

— Rok okropny — bankructwo gotowe!-mówił żywo właściciel Róży ruszając ramionami — co to za goście!

— Wszakże mieszkania pustkami nie stoją?

— Ha! co to o tem mówić!-zżymnął się gospodarz i potarł rękami głowę.

— Przepraszam.. ale właśnie chciałem spytać... o jednego z pańskich gości.. tego.. młodego.. przystojnego.. arystokratycznego.. z laseczką...

— W tużurku tabaczkowym? tak — z laseczką. kapelusz Panama.. a! to mi tu o niego spokoju nie dają.. odparł gospodarz — nawet hrabina.. lokaja przysyłała.

— Właśnie o niegom chciał spytać?

Właściciel Róży z przyległościami ruszył ramionami, uśmiechnął się. — Cóż tak wielkiego? co tak osobliwego-zawołał. Uderzył się w czoło. — Ah! jakże bo się nazywa? jak się nazywa?..-okręcił się. A! wiem.. pan Gabriel Pilawski.. obywatel z Warszawy..

— No — ale obywatel a obywatel — dodał badacz, pan najlepiéj wiesz, że kogo to teraz obywatelem nie nazywają.. obywatel ziemski? obywatel miejski?..

— A! już co do gatunku obywatelstwa, to nic nie wiem,-szybko dodał gospodarz — nie wiem.

— Gabriel Pilawski!-powtórzył ciekawy — to nie może być!

— Jakto nie może być, ofuknął gorąco gospodarz-jak nie może, kiedy jest.. Ja panu spowiadam, Gabriel Pilawski, obywatel z Warszawy.

— I przyjechał sam? ze służącym? jak?

— E! sam jeden — sam jeden.

— Gabriel Pilawski — Pilawski!-powtórzył skłopotany badacz — kapelusz Panama, laseczka i tużurek tabaczkowy.. Gabriel Pilawski.

— Mówię panu, mogę książkę meldunkową pokazać.

— U zegarka żadnych dywizek tylko jeden wielki pierścień z turkusem.

— Ten sam — pierścień z *turkosem*, *turkos* ogromny, kosztowny — obserwowałem — rzekł gospodarz.. ja się na tem znam..

— I Gabriel Pilawski czy Piławski!-spytał jakby nagle oświecony myślą szczęśliwą badacz..

Gospodarz trochę zniecierpliwiony pobiegł po książkę, przyniósł ją i włożywszy na nos szkiełka wspólnie z ciekawym począł się podpisowi przypatrywać. Oba spuścili głowy nad książkę, syllabizowali, milczeli. Rzeczywiście była wątpliwość — Głoska *l* skutkiem zamaszystego pociągu pióra tak była zawiązana, iż mógł ją kto chciał wziąć za *l* lub za *ł*. Zależało czytanie od usposobienia. Gospodarz czytał jako *simplex servus Dei*, Pilawski, ciekawiec mrucząc pod nosem, bo nie chciał się wydać z pomysłem — mówił Piławski. Rzecz była na pozór mała, ale dla badacza nadzwyczajnéj doniosłości i ogromnego znaczenia.

Uśmiechnął się ironicznie w milczeniu; książkę oddał, ukłonił i z wielką powagą miał odchodzić, gdy go tknęło, iż się o inne okoliczności towarzyszące, pomocniczo objaśniające nie zapytał. Mądry wszakże, domyślny a grzeczny właściciel Róży, wyczytawszy z oczów milczącego badacza ciekawość, dodał pocichu w poufny sposób.

— Jaki obywatel ziemski, proszę pana, czy też miejski... tego nie wiem, a czego niewiem tego nie mogę powiedzieć — ale coś porządnego: słowo honoru, coś bardzo porządnego! Powiadam panu bywają u mnie różne familje i ludzie, nie chwaląc się, najznakomitsi... raz nawet był hr. Gołuchowski!.. no — ale takiego tłomoka jeszczem u nikogo nie widział. Angielski czy też już nie wiem jaki, skóra jak na pugilaresie, okuta bronzem, elegancki co się zowie śliczny. Drugi mniejszy, podobny, tylko kalibrem różny, torba także garniturowa. A co ponadobywał różności i ponarozstawiał szczotek i mydeł, flaszek, ingredencji to się służąca wydziwić nie mogła — królewska toaleta.

— No — a z herbami?-zapytał badacz.

— Przyznam się panu, że oto nie pytałem i nie obserwowałem — dodał gospodarz, a tylko elegancja co się zowie. Na kołnierzu od surduta, gdy Franek wytrzepywał, sam czytałem *London*, na butach, to mi Franek mówił, *London*, wszędzie London i wszystko paradne.

— A książki ma?- Spytał inkwizytor.

— Pół stolika zawalonego — dodał gospodarz — wszystko francuzkie, i coś tam polskich...

— Ale bez służącego? szepnął kręcąc głową badacz.

— Hm — ściśle biorąc — rzekł gospodarz, — po cóż do Krynicy służący? Franek może i księciu usłużyć...Hrabiemu Gołuchowskiemu buty czyścił.

Niedosłyszał tego argumentowania nasz ciekawiec, bo się skłonił i zatopiony w myślach odchodził, powtarzając — Piławski. Pilawski, hm! oczewista rzecz iż to jest pseudonym dla zachowania *incognito* od herbu *Piława* — Toć jasne! to jasne! Chciałoby się uniknąć natrętów, ciekawych, znajomości... to jasne... Piławski — Piława!

Usmiechnął się do siebie i zatarł ręce szczęśliwy, iż trafił na wywód ten, który mu się wydawał nadzwyczaj trafnym. — Nie jest to rzeczą przyjemną ciągnął daléj — być napastowanym, okrążanym, wyzyskiwanym... Ci protekcji, inni pieniędzy, — drudzy szukają znajomości, aby się przechwalać. Toć rzecz zrozumiała — Piławski... Piława... jak na dłoni. Jestem w domu — ale sza!!

Uszczęśliwiony domysłem, w którego trafność uwierzył najmocniéj, badacz poszedł na deptak pod parasolem postanawiając milczeć, dopóki by na poparcie idei swojéj nie znalazł silniejszych jeszcze argumentów.

Tu czas jest zapoznać się — nie z wielkim nieznajomym, ale z badaczem tyle trafności mającym i dowcipu. Badacz nasz, w pospolitem życiu zwany był panem Karolem Surwińskim. Był on mieszkańcem Krakowa i — teraz już, właścicielem kamienicy, na któréj srogie opodatkowanie zwykł się był uskarżać przy każdéj rozmowie. Zasiedziały w mieście i nieruszający się chyba do Krynicy z rozkazu Doktora Dietla — pan Karol niegdy wiele świata zwiedził, wiele przebył i przebolał. Z przeszłego czynnego życia pozostała mu potrzeba ruchu, pieniędzy, stosunków, ludzi i — wiadomości złego i dobrego. Czytywać nie mógł, bo nie nawykł do tego nudziarstwa i słabe miał oczy — czerpał więc zabawę i naukę z żywego świata. Filozofował, obserwował; nadewszystko plotki i wnikanie w strojne sprężyny cudzego żywota niezmiernie lubił. Tem też właściwie tylko żył i zajmował się. Jeśli w swych studiach nad społecznością i analizach charakterów natrafił na szkopuł; — choćby zrazu miał się on rozprysnąć, jak woda o kamienie, nie mijał go, i owszem — silił się skruszyć zawadę — i zawsze prawie z czasem, z cierpliwością dochodził do ziszczeń swych celu. Nie było dla pana Karola Surwińskiego nic tajnem na Krakowskim bruku, nie ostało się też długo tam gdzie przeniósł chwilowo działalność swoją.

— Gdybym ja chciał pisać pamiętniki — mawiał śmiejąc się po cichu, (miał w obyczaju taki śmieszek stłumiony, przygłuszony, tajemniczy z którym nie wybuchał nigdy — ale też i obejść się bez niego nie mógł) — gdybym ja moje pamiętniki pisał!! no — no! dopierobyście się ciekawych dowiedzieli rzeczy!!

Nieprzychylni panu Karolowi dowodzili, że fantazja bujna, częstokroć wybujała — dosztukowywała co brakło do uzupełnienia wiadomości. To pewna że łataniny znać nie było, a powieści pana Karola tak mile się słuchały, tak były zręcznie układane, iż je wiele prostoduchów za szczerą brało prawdę. To też pan Karol, stary kawaler, potroszę wszędobylski, mile był widywany w najróżnorodniejszych towarzystwach, w każdem z nich właściwie znaleźć się umiał, a z równem upodobaniem gościł u professorów, hrabiów, ławników i mieszczan. Nawykły do miasteczka, choć dziś wyludnionego znacznie, zawsze jednak dostarczającego mu podostatkiem społecznego materjału do życia — u wód miał tem więcéj do czynienia, że szczuplejszem gronkiem ludzi wyżywić się musiał. Z tego powodu był niezmiernie czynnym, kręcił się i wyszukiwał zajęcia. Nic tu oka jego i uwagi nie uchodziło, starał się ze wszystkiego korzystać. Tajemniczy ów przybysz dostarczył szczęściem pięknego przedmiotu do studjów i bardzo był pożądaną zagadką.

W prawdzie dotąd brakło danych, na których by oprzeć mógł i osnuć dostatniejszą powieść, lecz, mądréj głowie dość na słowie — z tego co miał, snuć już mógł wiele i długo. Pracowici badacze są jak pająki, przędą z siebie, gdy z czego innego nie mogą. I mówił w duchu pan Karol:

— Człowiek, który tak wyglądał, mała rzecz tłomoki, ale i one mają znaczenie, człowiek, który ubranie i obuwie każe sobie robić w Londynie, nie może być lada obywatelem Pilawskim... bo o żadnych Pilawskich tak okrutnie bogatych i zbytkujących u nas niesłychać. W tem tkwi tajemnica... ja jéj dojść muszę... Zatarł ręce... dzień był chłodnawy.

— Niech sobie demokracja co chce plecie, dodał rody, rasy i krew istnieją. Po twarzy zaraz, z rysów poznać można człowieka dobrego gniazda, którego rodzina od wieków swobodnie oddychając, zajmowała się wydzieloną sobie przez Opatrzność delikatniejszą robotą. To nie jest twarz, postawa, chód pana tam jakiegoś obywatela Pilawskiego — to są rysy arystokratyczne, szlachetne — rasowe...

Deszczyk kropiący od rana, jakoś około godziny dziesiątéj pruszyć przestał — na deptaku chodziło,

mimo pozostałej na nim wilgoci, osób coraz więcej, chodził i pan Karol, którego dobrzy znajomi mimo jego wieku zwali Karolkiem — za co się nie gniewał, odmłodzało go to i pochlebiło mu. Ten i ów zaczepił przechodzącego, ale wszyscy doświadczyli, iż nie był usposobionym do rozmowy jak zwykle... zbywał ich krótko. Absorbowała go zagadka, uchylał się nawet od obcowania z najlepszemi znajomemi, ażeby w ciszy i skupieniu ducha, przedsięwziąć środki właściwe ku odkopaniu tajemnicy. Niewykończonéj produkcji niechciał okazywać szerszym kołom. Wszyscy uważali, iż był nie swój — przypisano to działaniu żelaza z wapnem, rozpuszczonych w wodzie Krynickiéj. Gaz też węglowy, węglany czy węglisty nie ma reputacji przyczyniającego się do rozweselenia — owszem ma przytępiać władze wszelkie.

Około pół do jedenastéj, gdy już wszyscy pijący wodę, mieli czas dokończyć absorbcji i porozchodzili się do kąpieli — słońce łaskawsze niż zwykle bywa w Krynicy, zaczęło się z po za obłoków gnanych wiatrem pokazywać. Można było, korzystając z pięknéj pory wyjść na przechadzkę, a że barometr Dr. Zieleniewskiego znacznie się podniósł — już się na wet zaczynały tworzyć projekta dalszych wycieczek, gdy ciekawość powszechna, podrażniona przez pana Pila czy Piławskiego (którego nazwisko jeszcze nie było znanem powszechnie) na nowo rozbudzoną została powozem, pocztowemi końmi zajeżdżającym pod Różę, z paczkami, pakunkami, pudełkami... tłomokami i dwiema paniami, które wysiadły — spytały o mieszkanie, a znalazłszy je na pierwszem piętrze trzy pokoje bardzo słone, po krótkiéj chwili wahania — zajęły je i rozkładać w nich poczęły. Gospodarz, ażeby wiedzieć czego się trzymać, chociaż tłomoki znowu były wielce obiecujące (nużby uchowaj Boże w tytule uchybił?) wysłał zaraz dziewczynę z książką meldunkową, piórem i atramentem. Po krótkiéj chwili panna powróciła i na karcie wyczytano: Zuzanna Domska z córką Elwirą z Berlina. Służąca syllabizując schodziła powoli z księgą, a gospodarz i cała kupka ciekawych rzuciła się wnet na pastwę. Wszyscy nosy powtykali jak najbliżéj papieru i wszyscy je popodnosili wkrótce, z wyrazem uczucia doznanego zawodu. Powtarzano — Domska! Domska z Berlina! Cóż to jest z Berlina? To chyba z Wielkiéj polski?

W rubryce oznaczającéj stan przybyłych, był tylko posuwisty sztrych pióra, jakby obrażonego natrętną indagacją, znaczący tyle co protestacja przeciwko nieprawemu dochodzeniu i wtrącaniu się w szczegóły tyczące społecznego stanowiska — chorych!! Domyślano się tedy różnie. Pani Domska z córką Elwirą i tylu pudełkami nie mogła być kim innym, tylko bogatą dziedziczką dóbr w Wielkiéj polsce... A że mąż jéj zajmował zapewne stanowisko wysokie przy dworze, że zasiadał w izbie parów, więc i owa pani Domska jechała nie z Poznania, ale z Berlina. Rzecz była dla ludzi myślących jasna jak słońce. Nawykli do wyrazistości niecierpliwili się tym lakonizmem — pani Domskiéj z Berlina!!

Nazwisko brzmiące ładnie nic samo z siebie nie mówiło. Rodzina w herbarzach była nieznana, lecz ileż podobnych zasiada teraz po izbach panów i parów, i nosi tytuły świeżo nabyte? Osoby pijące kawę na dole, a wstrzymane chwilę w pochodzie bardzo przebaczoną ciekawością — popatrzały na znoszone tłomoki... czytały nieznacznie polepione na pudełkach kartki i powoli się porozchodziły. Jedna panna więcéj przybyła młodzieży.

Doświadczenie uczy, iż u wód kto się chce o kim dowiedzieć, zawsze w końcu celu doścignie, byle miał trochę cierpliwości. Wysiadające panie widział gospodarz, widział Franek lokaj, widziała panna służąca, spotkał w korytarzu pan Paweł Bann Hotkiewicz, odstawny Major od Huzarów. Wszyscy się zgadzali na to, iż obie wyglądały bardzo, bardzo przyzwoicie. Panna Elwira, mimo zaniedbanego stroju i choć po męczącéj podróży — wydała się wszystkim bardzo piękną. Matka zdawała się chorą, zmęczoną i mniéj dystynkcją odznaczała. Była, mówił znający się na ludziach gospodarz — at sobie stara jejmość! — panna zaś — co się zowie. I dodawał z pewnym ręki ruchem wielkiego znaczenia: — *Grandioso, grandioso!*

Baron Hotkiewicz, który uchodził za znawcę, bywał na balach dworskich i widywał arcyksiężne, potwierdzał iż panna Elwira wyglądała *trés comme il faut*. Uderzało i to w charakterystyce pań, iż pani i panna Domska z wielkim wykwintem i wedle najświeższéj mody były ubrane. Ilość pudełek zwiastowała elegantki wielkie. Burnus panny Elwiry kaszmirowy, nawet jak na drogę, był za nadto wytworny, boć go oprócz postyljonów nikt nie widział.

Korzystając z ciepła i słońca parę osób poszły po śniadaniu przechadzać się do lasku. Pan Karol Surwiński, zobaczywszy na oddalonych ścieżkach z cygarem snującego się swojego Piławskiego, począł manewrować z niezmierną zręcznością tak, ażeby się z nim gdzieś z bliska spotkać, nie będąc znowu posądzonym o natręctwo i nawijanie się, bo tego niecierpiał. Jakoż w istocie dzięki umiejętnym pochodom skrzyżował się, zawsze najniespodziewaniéj niby z p. Piławskim, ale przechodzący odwracał za każdym razem głowę, udawał, że nie widzi i napawał się po wodzie — naturą, a do zawiązywania stosunków najmniejszéj skłonności nie okazał. Pan Karol o tyle tylko skorzystał w strategicznych ruchach swoich, iż mógł się zbliska przypatrzeć krojowi sukien, lasce, kapeluszowi, dewizce z turkusem — i z obserwacji swych wyciągnął znowu to najmocniejsze przekonanie, iż nieznajomy był *incognito* ściśle zachowującym członkiem jakiejś znakomitéj rodziny krajowéj.

Z tem najmocniejszem przekonaniem powracał, nie chcąc już po raz trzeci się z nim zetknąć, gdy na skraju lasku ujrzał idącą przeciw sobie panią Ormowskę, sławną panią Ormowskę, w towarzystwie nieodstępnych dwóch swych wychowanic i kuzynek, panien Lusi i Musi. Kto nie miał szczęścia znać osobiście pani Ormowskiéj, którą znali od lat trzydziestu wszyscy około Lwowa, w obu królestwach Galicji i Lodomerji i Wielkiem Księztwie Krakowskiem, temu nadzwyczaj trudno będzie skreślić wizerunek wierny téj zacnéj damy, która niegdyś była najpiękniejszą między pięknemi, a dziś jeszcze należała do najprzyjemniejszych niewiast dwóch królestw i wielkiego księztwa. Pani Ormowska *de domo*, ale to już tam przypomnieć trudno, bo nazwisko rodowe było nie zbyt wdzięczne, poślubioną została bardzo młodo hrabiemu P..., z którym żyła lat z dziesiątek, owdowiawszy poświęciła się wychowaniu syna jedynaka, a dla ułatwienia tego zadania i znalezienia mu opiekuna a sobie pomocnika, wyszła powtórnie za mąż za niejakiego pana Ormowskiego, człowieka bardzo majętnego lecz posądzanego, iż handlem sobie zdobył fortunę. Po Ormowskim owdowiawszy raz jeszcze i wziąwszy spadek bardzo znaczny, bo jéj większą część majątku swego zapisał, nie probowała już wchodzić w nowe związki małżeńskie, synowi oddała dobra hrabiowskie, sama zaś w dostatkach i swobodzie trawiła resztki żywota, wychowując i wydając za mąż dla rozerwania się różne z kolei dalekie kuzynki i powinowate. Jedynym warunkiem, niezbędnym prawie, przyjęcia w opiekę ubogich panienek było, iż musiały być ładne, miłe, roztropne i łagodne. Brzydkich znosić przy sobie nie mogła równie kobiet jak mężczyzn, a złośliwych mniéj jeszcze. Dobrego serca, wesołego umysłu, wielce wyrozumiała i pobłażająca dla drugich, pani Ormowska, którą przez grzeczność nazywano baronową, nie miała już innego celu w życiu nad wesołe spędzanie lat pozostałych. Otaczała się więc tem, co jéj robiło przyjemność, a że dobroczynność daje spokój i szczęście, czyniła jak mogła najlepiéj ludziom, aby oni jéj nie nudzili, nie przeciwili się i nie przeszkadzali być szczęśliwą. Musi i Lusi, a w ogóle wszystkim z kolei po sobie następującym kuzynkom, ani smutnemi, ani nudnemi, ani złośliwemi niedozwalała być pani Ormowska. Dziewczęta umiały z tego doskonale korzystać, bo gdy która czego zażądała, robiła kwaśną minkę tylko i najdaléj w dwudziestu cztery godzin, pocieszoną została tem, czego pragnęła. Umiano to usposobienie wyzyskiwać. Kobiecina wyglądała ze swą pomarszczoną, rysów jeszcze wdzięcznych, mimo marszczek i starości twarzyczką, z oczkami uśmiechniętemi i ustami uśmiechać się usiłującemi — wcale przyjemnie. Zawadzała jéj tylko zbyteczna otyłość. Chodziła też podpierając się zawsze parasolikiem, który w istocie był zamaskowaną laską, a nawet wcale grubym kijem, ale w jedwabnéj sukience, poznać go było trudno co za jeden. Dbała o powierzchowność swoją i kuzynek niezmiernie pani Ormowska, choć sama się z tego śmiała, że ją jeszcze o spóźnioną zalotność gotów kto był posądzić. W istocie zaś o tyle zalotną była, że chciała się podobać z charakteru, wykształcenia a — mówiąc prawdę i ze śladów wdzięcznéj, dawniéj niezapomnianéj, tryumfatorskiéj piękności. Lubiła bardzo nie być samą, a właśnie się trafiło, że dwór jéj jakoś się rozpierzchnął i szła tylko z Lusią i Musią, co się równało dla niéj, jakby nie miała nikogo, obie bowiem panienki, jako domowe były chlebem powszednim. Zobaczywszy zdaleka przez lornetkę p. Karola, który szedł jakoś w przekątnym kierunku, — staruszka poczęła nań wołać, machać chustką, a że Musia i Lusia także, śmiejąc się do rozpuku, rozkrzyczały, hukając nań i dając znaki, jak okręt przy rozbiciu, — aby p. Surwiński na ratunek przybywał — rad nie rad przybiegł stary kawaler, sądząc że w istocie wezwano go przeciw żmji lub wężowi na wojnę. Pani Ormowska umiała ocenić przymioty pana Karola, chociaż wiele do zarzucenia też znajdowała, naprzód że miewał nie zbyt świeże chustki od nosa i czasem przypylone kołnierzyki od koszuli, powtóre iż bywał złośliwy i siał niepotrzebne plotki. Ale bawił ją też anegdotkami i opowiadaniami. Surwiński nie zbliżał się zbytecznie do pani Ormowskiéj, gdyż jako stary kawaler miał w podejrzeniu wszystkich, że go chcieli żenić, a znając upodobanie w kojarzeniu sakramentalnych węzłów staruszki, bał się Musi i Lusi. Bo to, mawiał sam do siebie — człek się nie wiedząc sam jak, zaplątać jeszcze może, a potem kłopot i gniewy i niepotrzebna gadanina.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

I.

WSTĘP.

W półcieniu komnaty słabo oświetlonéj, leży na łóżku młoda kobieta. Tuż obok siedzący w krześle Dombey ojciec utkwił wzrok w kołyskę Dombeya syna, starannie ustawioną w pobliżu kominka, jak gdyby istota w niéj pomieszczona miała w sobie coś z natury grzanek i potrzebowała jak one dosyć wysokiéj temperatury, aby dojść do stosownego przyrumienienia.

Dombey ojciec ma niespełna lat pięćdziesiąt. Dombey syn liczy zaledwie tyleż minut istnienia. Pierwszy jest nieco łysy, trochę za rumiany i nadto otyły, jakkolwiek dobrze zbudowany, aby mógł się nazywać powabnym. Dombey syn jest bardzo łysy i mocno czerwony, ale jak na wiek swój bardzo okazały. Na czole ojca zoraném bruzdami, Czas i siostra jego Troska pozostawiały ślady swego przejścia, jak to czyni leśniczy nacinając drzewa, które paść mają w oznaczonym czasie. Na twarzy syna, widać dotąd tylko drobne dołki, które czas zdradliwy późniéj pozaciera, wygładzając je płazem swéj kosy, jakby do przygotowania sobie pola do dalszéj roboty.

Dombey ojciec rozradowany zdarzeniem długo wyczekiwanem, nie przestawał podrzucać ciężkiego złotego łańcuszka wyglądającego mu z pod granatowego fraka, którego guziki błyszczały jak fosfor przy odblaskach dogorywającego ogniska. Dombey syn tymczasem zaciskając drobne pięście, zdawał się już po swojemu wspaniale rozpierać w tem życiu, którym znagła został obdarzony.

— Co teraz, odezwał się Dombey do żony, potrząsając wesoło łańcuszkiem, to już nie z imienia tylko będziemy firmą Dombey i syn. Wszak prawda pani Dombey?

Dźwięk tych wyrazów sprawił na mówiącym tak miłe wrażenie, że po chwili powtórzył swe zapytanie, zmieniając je tylko nieco:

— Wszak prawda, kochana żono?

Lekki rumieniec ożywił chwilowo wybladłą twarz choréj; podniosła na męża wejrzenie zdziwione.

— Ma się rozumieć że się będzie nazywał Paweł, dodał Dombey.

Chora kobieta powtórzyła te słowa lekkim poruszeniem ust, którem dźwięku zabrakło, potem zamknęła znowu oczy.

— Jest to imię jego ojca a także i dziada, mówił daléj Dombey. Ach! cóżby to było, gdyby on żył jeszcze!

Tu zamyślił się przez chwilę, potem dodał w ten sam sposób uroczysty co pierwéj:

— Dombey i syn!

Przewodnia myśl życia tego człowieka mieściła się w tych słowach. W przekonaniu jego, świat cały został stworzony dla interesu domu Dombey i syn, słońce i księżyc nie miały innego powołania jak jemu przyświecać. Dla jego okrętów istniały morza, dla niego tęcze zapowiadały pogodę, jemu wiatry miały obowiązek dopomagać, a planety dla tego tylko się poruszały, aby utrzymać równowagę systematu, którego ów dom był jądrem.

Młodość Dombeya, na podobieństwo młodości ojca jego, niczem innem nie była jak stopniowem wznoszeniem się ze stanowiska Dombeya syna do godności Dombeya ojca. Od lat dwudziestu godność tę piastował, od dziesięciu zaś był mężem kobiety, która wraz z ręką nie potrafiła oddać mu serca, całe bowiem szczęście swoje już za sobą zostawiła. Złamana bezpowrotnie nieszczęśliwą miłością, umiała tylko spełniać z łagodną rezygnacją obowiązki, jakie na siebie przyjęła. Prawdopodobnie, nic z tego co sobie szeptano po salonach o przeszłości jego żony, nie doszło nigdy do wiadomości Dombeya, a gdyby nawet coś o tem zasłyszał, z pewnością i wtedy nie byłby uwierzył, aby cośkolwiek mogło braknąć szczęściu osoby, będącéj jego małżonką. W przekonaniu jego, związek zawarty z naczelnikiem domu Dombey i syn, musiał się wydawać zarówno korzystnym jak zaszczytnym każdéj rozsądnéj kobiecie; nadzieja zaś dania spadkobiercy tak wspaniałéj firmy nie mogła pozostać obojętną duszy najmniéj nawet ku wzniosłym celom zwróconéj. Skoro przytem w życiu codziennem, pani Dombey zajmowała pierwsze miejsce u jego stołu i w domu, którego nawiasem mówiąc czyniła honory w sposób bardzo dystyngowany, chcąc niechcąc zatem, musiała być całkiem szczęśliwą.

Całość tego szczęścia nie była jednak zupełną; przez całe lat dziesięć to jest do dnia w którym poznajemy Dombeya wygodnie rozpartego w krześle i bawiącego się złotym łańcuszkiem od zegarka, związek ów był bezowocnym, a raczéj, nie wydał owocu godnego wzmianki. Bo czyż mogła nim się nazywać urodzona przed sześciu laty córka, owe nieśmiałe i smutne dziecię, które wszedłszy właśnie po cichu do pokoju, skryło się trwożliwie w zakątku usiłując ztamtąd dostrzedz twarz matki?.. Czemże mogła być córka dla starodawnéj firmy Dombey i syn? W bilansie zasobów, powagi i znaczenia tego domu, przedstawiała ona wartość nie mającą kursu i nie mogącą być do ksiąg zaciągniętą, była niedoszłym chłopcem, niczem więcéj.

Bądź co bądź, czara radości Dombeya była w téj chwili tak pełną, że uznał za stosowne udzielić z niéj kilka kropli swéj córce. Zwrócił się więc ku niéj i rzekł:

— Floro, jeśli sobie życzysz o czem nie wątpię, możesz się przypatrzeć bratu; tylko nie dotykaj go.

Dziewczynka spojrzała na granatowy frak, na sztywny krawat, na skrzypiące buty i na głośno idący zegarek, co wszystko zebrane razem uosabiało dla niéj ojca, wzrok jéj wrócił niebawem ku matce i pozostała w miejscu milcząca.

Po chwili, chora podniósłszy powieki spostrzegła swe dziecię... Wtedy dziewczynka rzuciła się w objęcia matki ściskając ją i całując z uczuciem wiek jéj wyprzedzającem.

— Boże! cóż za gorączkowe i niewczesne uniesienia, mruknął Dombey wstając z miejsca; sądzę że nie od rzeczy będzie przyzwać jeszcze raz doktora Pepsa. Pójdę po niego.

Potem zwracając się do kobiety dozorującéj chorą rzekł:

— Nie potrzebuję jak mniemam, polecać tego młodzieńca szczególnéj opiece pani... pani... jakże tam?

— Pani Blackett, do usług pańskich, odpowiedziała zapytana, wysilając się przybrać ton dystyngowany.

— Otóż chcę mówić o tym oto młodzieńcu, pani Blacket t.

— Rozumiem proszę pana, przecież znam moje obowiązki. Wszakże, kiedy się panna Flora rodziła...

— No, no, mruknął Dombey pochylony nad kołyską; panna Flora to co innego. Ten młodzieniec ma posłannictwo do spełnienia, wszak je masz, czy nie prawda ty mały urwisie?

To mówiąc, wziął rączkę dziecięcia i pocałował ją, poczem jakby zawstydzony że tym czynem ubliżył może swojéj powadze, wyszedł krokiem miarowym bardzo wspaniale.

W salonie tymczasem doktór Peps, człowiek zajmujący urzędowe stanowisko u dworu i jak wieść głosiła wielce biegły w swéj sztuce, przechadzał się z rękami w tył założonemi, obudzając niepomierny podziw u doktora domowego, śledzącego bacznie każde jego poruszenie. Od kilku już tygodni ten ostatni w rozmowach ze znajomemi chętnie napomykał o zbliżającéj się ważnéj chwili, która mu obiecywała wspólność praktyki z tyle słynnym mistrzem.

— Cóż tedy, panie Dombey? odezwał się doktór Peps głosem, którego dźwięk stłumiony przypominał odgłos dzwonka obwiniętego w bawełnę. Czy pańska pieczołowitość orzeźwiła nieco naszą chorą?

— Czy ją pokrzepiła? wtrącił doktór domowy, kłaniając się nisko swojemu koledze, jakby się chciał wytłómaczyć z chęci umieszczenia tych kilku słów nie bez znaczenia.

Zapytanie to zastało Dombeya całkiem nie przygotowanym. Co prawda, myślał dotąd tak mało o choréj, że najmniejsza o nią obawa nie powstała w jego umyśle. Na razie, nie znalazł odpowiedzi.

— Wstrząśnienie całego organizmu było bardzo silne, mówił daléj doktor Peps. Muszę wyznać panu, że uważamy u szanownéj hrabiny... to jest u pani Dombey... pewien brak siły odpornéj, pewne ubezwładnienie budzące...

— Niejakie obawy, poddał domowy lekarz.

— Właśnie, to samo chciałem powiedzieć, rzekł Peps kłaniając się uprzejmie swemu koledze. Zdaje się — powtarzam — iż systemat nerwowy lady Cantaby... Och przepraszam, mięszają mi się zawsze nazwiska i tytuły moich dostojnych pacjentów.

— Cóż w tem dziwnego? mając ich tylu i to pomiędzy osobami najwyższego świata!.. wtrącił półgłosem domowy lekarz.

— To prawda, — mam praktykę całego wielkiego świata, odpowiedział doktór Peps. Chciałem tedy powiedzieć, dodał, że po tak silnem wstrząśnieniu potrzebaby koniecznie wielkiego wysiłku....

— Do którego chora musi się sama przyczynić, dorzucił domowy lekarz.

— Koniecznie, potwierdził Peps. Jeżeli zaś szanowna pani Dombey nie potrafi na to się zdobyć, może ztąd wyniknąć przesilenie, którego skutki....

— Będą jak najopłakańsze —dokończył jego kolega.

Tą razą, Peps nie powiedział już nic więcéj, i obaj lekarze pozostali w milczeniu przez czas jakiś, poczem skłoniwszy się Dombeyowi wyszli z pokoju, czyniąc sobie przy drzwiach wzajemne grzeczności.

Pozostawszy sam, Dombey, począł się zastanawiać nad tem co usłyszał i poraz pierwszy możliwość śmierci żony przedstawiła mu się, budząc w nim najprzykrzejsze wrażenia.

Nie był to co prawda człowiek zdolny zaniepo-

koić się lub wzruszyć bardzo czemkolwiek, wszelako przeczuwał że gdyby mu żona umarła, sprawiłoby mu to niemałą przykrość; byłoby to tak jak gdyby w sprzętach lub w domowem urządzeniu zabrakło mu znagła czegoś co miało swe znaczenie i warte było niejakiego żalu. Ale żal ten byłby w każdym razie spokojny, przyzwoity, całkiem kupiecki że tak powiemy; słowem trzeźwy i panujący nad sobą.

Rozmyślania te przerwał Dombeyowi wkrótce szelest jedwabnéj sukni dający się słyszeć u drzwi. Zaraz potem wkroczyła zamaszyście do pokoju kobieta już niemłoda ale ubrana jak panienka do figury, w obcisły a nawet nadto ciasny stanik.

Pobiegła ku Dombeyowi z twarzą wyrażającą najżywsze wzruszenie, i zarzucając mu ręce na szyję zawołała głosem stłumionym:

— Pawle, mój drogi Pawle: — ależ to Dombey, najprawdziwszy Dombey!

— No dobrze, dobrze — odpowiedział jéj brat — Dombey bowiem był bratem téj pani; — masz słuszność, to dziecię ma rysy naszéj rodziny. Ale uspokój się Luizo.

— Doprawdy, czuję że jestem śmieszna, rzekła siadając i dobywając chustkę z kieszeni; — ale kiedyż bo to taki skończony Dombey, że nic podobnego w życiu nie widziałam....

— Powiedz mi też Luizo, zapytał po chwili Dombey, co się mogło stać Fanny, mojéj małżonce?

— O mój Pawle, nie ma o czem i mówić. Jest trochę osłabiona i nic więcéj; co tu nawet i porównywać z tem co ja przebywałam kiedy się rodził Alfred albo też Feliks! Cała rzecz na tem żeby się chora zdobyła na energię. Mam nadzieję że to zechce uczynić, że przezwycięży przecie swoje ubezwładnienie. Czy wiesz Pawle, choć sobie to wyrzucam żem tak bezsilna w tej chwili, ale nie mogę dać sobie rady; tak mi mdło jakoś że cię chyba poproszę o kieliszek wina i o jaką przekąskę. Myślałam doprawdy że ze schodów spadnę, kiedym wyszła od tej kochanej Fanny i od jéj aniołka.

W tej chwili zastukano z lekka do drzwi i głos kobiecy odezwał się z przymileniem:

— Droga pani Chick, jakże się czujesz teraz?

— Kochany Pawłe, rzekła po cichu Luiza: to jest panna Tox, najlepsza i najzacniejsza w świecie osoba. Jesteśmy z sobą bardzo dobrze i niepodobna mi było jéj tu dziś nie przywieść. Panno Tox, dodała zwracając się ku wchodzącéj, przedstawiam ci mego brata, pana Dombey. Drogi Pawle: moja najserdeczniejsza przyjaciołka, panna Tox.

Przedstawiona w ten sposób dama była osobą bardzo szczupłą i wysokiego wzrostu, z twarzą pokrytą czerwonością dziwnie jaskrawéj barwy. Co prawda, gdyby nie ta mała niedoskonałość, panna Tox mogła była uchodzić za całkiem wzorową osobę, zwłaszcza pod względem grzeczności i uprzejmości. Skutkiem onych zalet właśnie, nawykła tak była słuchać z podziwem co bądź tylko mówiono w jéj obecności, wpatrując się w mówiącego, jak gdyby sobie miała za święty obowiązek odczuwać głęboko każde jego słowo, że głowa jéj pozostawała niezmiennie na bok pochylona, a ręce same z siebie podnosiły się od czasu do czasu z ruchem mimowolnego podziwu. Panna Tox miała głos najsłodszy jaki sobie można wyobrazić, a nos jéj jakbądź od góry dumnie orlego kształtu, ku końcowi jednak pokornie się pochylał, jakby z umysłu do tego kierunku przymuszony.

Jakkolwiek ubranie panny Tox było całkiem przyzwoite i jak się należy, przeświecały w nim wszelako oznaki pewnéj oszczędności. Na czepkach jéj i na kapeluszach widywano dziwne jakieś kwiaty, bez barwy ani kształtu wyraźnego, osobliwsze trawy zdobiły nieraz jéj ubranka, a nawet złośliwe języki twierdziły, że kołnierze jéj, wstążki i krawatki, słowem części ubrania mające po dwa końce przeznaczone do schodzenia się z sobą bywały krajane tak oszczędnie, że owe końce zaledwie tylko i to z wyraźnem wysileniem mogły się spotykać. Futra i zarękawki miewała jakieś najeżone i szorstkie w doknięciu, woreczki zaś nosiła staroświeckie otwierające się z rozgłosem za pociśnięciem sprężynki. Wszystkie te szczegóły razem zebrane nasuwały niejednemu wniosek, że środki któremi rozporządzała panna Tox musiały być wielce ograniczone, i że ta dama czyniła niemal więcéj, jak to co było w jéj możności,

— Niemałym jest mi to zaszczytem, rzekła panna Tox z bardzo głębokim ukłonem, być przedstawioną panu Dombey. Oddawna tego pragnęłam, ale tem mniéj się mogłam w podobnéj chwili tego szczęścia spodziewać.... Kochana pani Chick... daruj że sobie pozwolę powiedzieć, kochana Luizo!...

Pani Chick uścisnęła z uczuciem ręce panny Tox ani wiedząc że zarazem w nie wtłaczała podstawę kieliszka który w ręku trzymała, i powstrzymując łzę wzruszenia, zawołała:

— O mój Boże! ależ cię o to proszę, moja najdroższa.

— A więc, kochana Luizo, jak się czujesz teraz?

— Daleko lepiéj. Wypij i ty kieliszek wina, potrzebujesz się pokrzepić moje kochanie, boś się umęczyła prawie tyle co ja.

Dombey nalał kieliszek wina.

— Muszę ci też powiedzieć Pawle, ciągnęła daléj pani Chick nie puszczając ręki przyjaciółki, — że panna Tox widząc jak mię żywo obchodzi dzisiejsze zdarzenie, zrobiła własnemi rękami dla naszéj Fanny mały podarek który wzięłam na siebie jéj doręczyć. Jest to wprawdzie tylko poduszeczka od špilek, ale muszę wyznać, że w wyszytym na niéj napisie, przebija cały takt dawczyni: „Witaj, młody Dombey!" A co? czy nie poezja to, co się zowie?

— Więc taki jest napis? zapytał Dombey.

— Taki odpowiedziała Luiza.

— W każdym razie, wtrąciła nieśmiało i pokornie panna Tox, muszę wyznać że w doborze wyrazów wahałam się nieco... W niepewności bowiem... lękałam się....

To mówiąc, oddała gospodarzowi domu ukłon głęboki, za co w zamian otrzymała grzeczne pochylenie głowy. Osoba polecona mu przez siostrę miała tem samem niejakie prawa do względów Dombeya. Stanowisko najbliższéj krewnéj firmy Dombey i syn, nadawało pewien wpływ i przewagę pani Chick, jakkolwiek zkądinąd brat ją uważał jako istotę słabą i nadto dobrą.

— No, co teraz, rzekła pani Chick, to już przebaczam wszystko téj poczciwéj Fanny.

Trudno zaprawdę wiedzieć co miała na myśli pani Chick, czyniąc to prawdziwie chrześćijańskie oświadczenie, które mówiąc nawiasem nie małą jéj ulgę przyniosło. Jeśli co miała bowiem do przebaczenia bratowéj, to chyba że się ta ośmieliła pójść za jéj brata, co zaprawdę było niemałem zuchwalstwem a także że pierwsze dziecię jakie na świat wydała było córką nie zaś synem, wbrew temu co zdaniem pani Chick należało się słusznie od osoby tylu i tak delikatnemi względami otaczanéj.

Po chwili wywołano Dombeya z pokoju i dwie panie zostały same. Wtedy panna Tox niebawem rozpoczęła swe ruchy admiracyjne.

— Przewidywałam że będziesz podziwiać mojego brata, rzekła Luiza; powiedz czyliż ci tego nie przepowiedziałam?

Ręce i oczy panny Tox odpowiedziały w sposób wielce wyrazisty.

— A co to za majątek! dodała pani Chick.

— Ach! westchnęła z uczuciem panna Tox.

— To majątek co się zowie ogromny.

— Ależ moja Luizo mówmy raczéj o jego osobie, co za ruchy, jaka godność w obejściu! Nie widziałam nigdy, nawet na żadnym portrecie, podobnego zbioru najświetniejszych darów natury, coś tak imponującego, tak poważnego w postawie, — to trzymanie głowy, te szerokie piersi.... to książę Jorku, moja droga, istny książę Jorku!...

Tu przerwała jéj Luiza, która widząc powracającego Dombeya, zawołała:

— Pawle, co ci się stało? jesteś blady jak chusta... co to jest? powiedz — na Boga!

— Jest to rzecz bardzo przykra, rzekł bankier, oni powiadają że Fanny....

— Ależ mój Pawle, wszakże masz własny rozum, nie wierz temu, zawołała pani Chick wstając żywo z krzesła. Już ja ci to powiadam, możesz przecię zaufać memu doświadczeniu. Potrzeba tylko aby ta kochana Fanny wyrobiła w sobie trochę energji... Tę enerję zaś, dodała poprawiając czepek zamaszyście i wkładając rękawiczki z pośpiechem, potrzeba jéj natchnąć a nawet i wmusić jeżeli tego nie wystarczy. Chodź ze mną Pawle, pójdziemy do niéj.

Dombey, oprócz że nieraz ulegał wpływowi siostry dla wyżéj wzmiankowanych przyczyn, miał przytem pewne zaufanie w jéj kobiecem doświadczeniu; udał się więc z nią chętnie do pokoju choréj.

Znalazł tę ostatnią w tem samem położeniu w jakiem ją był zostawił, to jest leżącą w objęciach córki która ją ściskała z gorącem uczuciem. Dziewczynka nie podniosła głowy, nie odjęła twarzyczki od wybladłych lic matki żeby spojrzeć na wchodzących... nie poruszyła się... nie wyrzekła słowa... ani jednéj łzy nie wylała.

— Chora zdawała się bardzo niespokojną dopóki nie miała przy sobie córki, szepnął Dombeyowi doktór, — musieliśmy tedy ją znowu przywołać.

Wokoło łoża panowało ponure milczenie, a wejrzenie obu lekarzy utkwione w choréj wyrażało tyle współczucia a tak mało nadziei, że na chwilę pani Chick zawahała się z wykonaniem swego zamiaru. Wkrótce jednak, nabrawszy animuszu i odzyskawszy to co u siebie zimną krwią nazywała, usiadła przy nogach choréj i podnosząc głos jak gdyby chodziło o zbudzenie osoby uśpionéj, rzekła:

— Fanny, kochana! Fanny!

Nic coby można nazwać odpowiedzią nie dało się usłyszeć. Wśród ciszy zalegającéj pokój, tylko zegarki Dombeya i Pepsa zdawały się biedz z sobą na wyścigi.

— Droga moja Fanny, odezwała się znowu tonem wesołéj swobody pani Chick, oto pan Dombey przyszedł cię odwiedzieć. Czy nie masz mu nic do powiedzenia? Chcieliśmy położyć obok ciebie twego chłopca którego zaledwie chwilkę widziałaś, ale potrzeba na to żebyś się trochę usunęła. Rozbudź się Fanny, sprobuj się poruszyć, — sprobuj tylko, moje kochanie.

Tu usłużna siostra pochyliła się nad łóżkiem,

nasłuchując uważnie i dając palcem znak milczenia obecnym.

— Co? co mówisz, moja Fanny? rzekła po chwili. Nie słyszę ciebie.

Żadne słowo, żaden dźwięk nie odpowiedział na to zapytanie, — tylko oba zegarki zdawały się biedz coraz szybciéj.

— Moja duszo — rzekła wtedy pani Chick prostując się i podnosząc głos zarazem: uprzedzam cię że się na dobre rozgniewam, jeśli się nie zechcesz choć trochę poruszyć. Musisz się zdobyć na energję, jakkolwiek ci to trudnem być może. Energja jest tu rzeczą konieczną, wiesz sama o tem dobrze, moja Fanny. No, miejże chwilkę odwagi, tylko chwilkę, — bo jak nie, to się na prawdę rozgniewam.

Po raz trzeci zrobiła się cisza. Zegarki leciały na złamanie karku.

— Moja droga Fanny, odezwała się znowu Luiza rzucając wkoło siebie wejrzenie tą razą już zaniepokojone, spojrzyj że choć na mnie. Otwórz oczy, żebym przynajmniéj wiedziała że mię słyszysz. Fanny, zmiłuj się, spojrzyj choć na chwilę!... moi panowie, powiedzcie co tu począć?

Dwaj lekarze stojący naprzeciw siebie po obu stronach łoża, zamienili pomiędzy sobą wejrzenie, które po nad niem przebiegło błyskawicą. Starszy pochylił się i coś szeptał do ucha dziewczynce. Ta niezrozumiawszy go dokładnie, zwróciła ku niemu twarz śmiertelnie bladą. Czarne jéj oczy rzuciły mu dziwnie przenikliwe spojrzenie, ale nie przestała obejmować matkę rękami. Lekarz raz jeszcze pocichu do niéj przemówił. Wtedy dziewczynka wyrzekła jedno tylko słowo:

— Mamo!

Ten srebrny głos dziecięcy, tak znany, tak ukochany potrafił jeszcze zbudzić w matce jakąś iskrę czucia... opuszczone powieki zadrgały, nozdrza nieznacznie się wzdęły... i coś niby uśmiech, zabłysło przez chwilę na ustach...

— Mamo! zawołała łkając dziewczynka, — moja mamo! moja droga mamo!...

Doktór przyjrzał się uważnie włosom spływającym z czoła dziecięcia na usta matki. Niestety! te usta nie miały już dosyć tchu aby je poruszyć!

Tak tuląc do siebie to co na ziemi było jéj ostatnią miłością, kobieta owa uleciała w cienne i nieznane przestrzenia, które świat żyjących okrążają.

II.

Pierwsze starania około wychowania Pawełka.

— O, co to to pewna, mówiła pani Chick że gdybym lat sto żyła, to bym się dosyć tem nie nacieszyła, żem wtedy powiedziała, iż nie mam żadnéj urazy do téj biednéj Fanny. A powiedziałam to jakby z natchnienia, bo doprawdy czyliż się mogłam spodziewać tego co nas spotkało?

Budującą tę uwagę czyniła pani Chick w salonie do którego się udała, wydawszy stosowne rozporządzenia szwaczkom zajętym około żałobnych sukien dla robotników. Słowa jéj były skierowane do pana Chick, opasłego i łysego gentlemana, z twarzą niepomiernie długą i rękami zwykle w kieszeniach przebywającemi. Z gestem owym wiązała się trudna do poskromienia, a nieustannie nawiedzająca owego jegomości chęć do gwizdania, którą w téj chwili usiłował powstrzymać, jako bardziéj niż kiedy niewłaściwą.

— Na miłość Boga, rzekł do żony, nie oddawaj się zbytecznie uczuciu, bo z pewnością dostaniesz spazmów..., Ale — otóż i znowu! zawołał ucinając znagła śpiewkę rozpoczętą; — daruj mi... to tak bez myśli. Cóż to ja tedy mówiłem? Takie to ludzkie życie!... dziś jest, jutro go nie ma.

Pani Chick tylko wejrzeniem objawiła na ten raz swoje nieukontentowanie i tak daléj mówiła:

— To pewna, że owo bolesne zdarzenie nam wszystkim powinno służyć za naukę. Mam nadzieję że po takim przykładzie, nie potrafimy zapomnieć ile powinniśmy czuwać nad sobą, używać wszystkich sił, dokładać wszystkich wysileń, ilekroć okoliczności tego po nas wymagają. Każda rzecz nosi w sobie zbawienną naukę, idzie o to tylko aby umieć z niéj korzystać.

Pan Chick przerwał uroczyste milczenie, które nastąpiło po téj głębokiéj uwadze, pogwizdując całkiem niestosowną do okoliczności piosenkę: „był sobie szewc w sklepiku" Ale zaraz po pierwszym takcie uciął bardzo zmięszany i rzekł:

— O tak, — idzie tylko o to, i byłaby to nasza wina gdybyśmy nie skorzystali z tak smutnego zdarzenia...

— Choćby o tyle przerwała mu małżonka, żeby się oduczyć od całkiem nieprzyzwoitego nawyknienia.

— Otóż to właśnie... nawyknienie.. sama duszko powiedziałaś. A widzisz, nawyknienie...

— To głupstwo, — dokończyła żona. Jeżeli siebie zaliczasz do istot rozumem obdarzonych, w takim razie nie posługuj się tak śmiesznemi wymówkami. Nawyknienie! tóżbym chyba pier wéj nawykła chodzić jak muchy po suficie do góry nogami, niżelibym potrafiła zrozumieć co nazywasz nawyknieniem.

Rozumowanie to zdało się Chickowi tak przemożnie przekonywającem, że nie probował nawet wzmianki o niepodobieństwie przypuszczenia.

— Jakże się miewa dziecię, moja kochanko? zapytał pragnąc zmienić rozmowę.

— O jakiem dziecku chcesz mówić? odparła jéjmość opryskliwie. Dosyć ich dzisiaj chwała Bogu widziałam, ale żadne do Boskiego stworzenia nie było podobne.

— Widziałaś ich dosyć? powtórzył Chick patrząc na żonę wzrokiem nieco zatrwożonym.

— Cóż więc w tem dziwnego? zawołała równie szorstko jak przedtem. Przecież skoro umarła biedna Fanny, potrzeba nam myśleć o mamce dla Pawełka.

— Prawda! rzekł Chick z westchnieniem. Tak to w życiu, jedno drugie przeplata!.. Ale czybyś ty kochanko nie mogła kazać....

— Co kazać? Gadasz, a sam nie wiesz co. Nie wiesz nawet że dziecko....

— Djabli nadali! mruknął do siebie Chick wielce zafrasowany.

Oburzenie jakie wyraziła cała postać Luizy gdy z owych słów tak niefortunnie zestawionych wypadło, że Dombeya syna djabli nadali, nie da się opisać. Wykazało ono jasno jéj mężowi o ile niebezpiecznie się tą razą zaawanturował. Usiłując więc naprawić swą niezręczność odwracając od niéj uwagę małżonki, rzekł w sposób uprzejmy:

— Kochanko, czy nie mógłbym cię wyręczyć w zrobieniu herbaty?

Gdyby wymawiając te słowa, Chick miał był na celu zakończyć stanowczo rozmowę, w takim razie skutek ich całkiem byłby odpowiedział jego życzeniu. Przez chwilę oczy żony popatrzały na niego z wyrazem niemej rezygnacji, potem usłyszawszy turkot powozu, odeszła do okna.

Chick zrozumiał że chwila nie była mu przyjazną i nie odzywając się więcéj, wyniósł się wkrótce z pokoju. Nie należy jednak ztąd wnioskować aby mu się zawsze równie źle powodziło; nieraz bywało iż jego sprawa miała górę, a wtedy umiał korzystać ze sposobności i na żonę była koléj tańczyć jak on zagrał. Koniec końcem, było to stadło wybornie dobrane; jedno w nim nie miało drugiemu nic do wymówienia, a gdy się jaka kłótnia rozpoczynała, trudno było przewidzieć kto kogo pokona. Bywało nieraz, że gdy się zdawało iż małżonek stanowczo pobity, nagłym zwrotem przechodził do działań zaczepnych, a wymowa jego nabierała w podobnych razach takiéj potęgi, że pani Chick w żaden już sposób nie mogła dotrzymać mu placu. Jednem słowem, oboje ci państwo bywali równie często tak na wozie jak i pod wozem, i dla tego właśnie, niepewność ostatecznego wyniku walki, nadawała ich walkom tak wysoki stopień ożywienia.

Turkot wyżéj wzmiankowany był zwiastunem przybycia panny Tox. Wbiegła zdyszana i prawie bez mowy do pokoju.

— Droga Luizo, zawołała po chwili wytchnienia czy to miejsce jeszcze nie zajęte?

— Nie, kochanie moje, nie.

— W takim razie, mam nadzieję droga Luizo że... ale poczekaj na chwilkę, zaraz przyprowadzę tę osobę....

To rzekłszy, panna Tox wybiegła z pokoju i puściła się po schodach z tą samą szybkością z jaką była wbiegła przed chwilą. Wkrótce wróciła, prowadząc z sobą zapowiedzianą osobę.

Okazało się przy téj sposobności, że panna Tox, zkądinąd bardzo zacna i pełna poświęcenia pani, nie zawsze używała słów w ścisłem ich znaczeniu. To bowiem co w tym razie nazywała osobą, było całą gromadą istot od siebie odrębnych. Naprzód weszła z dzieckiem na ręku młoda kobieta rumiana i okrągła na twarzy jak bursztówka, za nią ukazała się druga, młodsza nieco i szczuplejsza, ale także pucołowata, niosąca aż dwoje dzieci także potężnie tłustych; potem wszedł chłopczyk kroczący o własnych siłach, wreszcie zamykając już pochód młody człowiek nie gorszéj tuszy od reszty rodziny trzymający w objęciach jeszcze jednego chłopaka, którego wchodząc postawił na ziemi, polecając mu aby miał opiekę nad młodszym braciszkiem.

— Wiedziałam o twoim kłopocie, droga moja Luizo, rzekła panna Tox, i oto udało mi się jemu zaradzić. Byłam w zakładzie mamek będącym pod opieką królowéj. Wiesz jakie tam porządne można znaleść osoby; — same zamężne, najdroższa moja Luizo. Tam mi polecono tę oto poczciwą kobietę, byłam u niéj w mieszkaniu, co za czystość! Powiadam ci, możnaby jeść konfitury na podłodze, jak na talerzu. Znalazłam całą rodzinę przy obiedzie i całą tu z sobą przywiozłam, bo najlepiéj będzie jak ją sami z panem Dombeyem obejrzycie. Ten oto gentleman, dodała panna Tox wskazując pucołowatego parobczaka, to ojciec caléj dziatwy, a to jego żona. Jak się masz Polly, dodała uprzejmie, chcąc tem zapytaniem ośmielić młodą kobietę a zarazem zręcznie ją uwydatnić.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH

PRZEZ

Aleksandra Dumasa (ojca)

(Dalszy ciąg.)

Zresztą, nie improwizatorowi brakuje słuchaczów, ale słuchaczom brak improwizatora.

Przyczyną upadku improwizacji w Neapolu, odkryłem ja, tak jest, ja odkryłem. Oto jest. Improwizator jest zwykle ślepy jak Homer. Jak Homer wyciąga swój kapelusz do ludu, po nagrodę za poezję. Zapłata ta, chociaż mała, utrzymywała dotąd improwizatorów. Cóż się teraz dzieje w Neapolu? Oto kiedy improwizator obchodzi słuchaczów z wyciągniętym kapeluszem, to niektórzy ludzie sumienni i z poetycznem uczuciem, kładą rękę do kapelusza i zostawiają w nim jaki su. Ale są i tacy, co nadużywając tego gestu, zamiast włożyć susa, wyjmują dwa. Ztąd taki rezultat, że kiedy improwizator obejdzie wszystkich, to nie znajduje ani szeląga w kapeluszu.

Taki stan rzeczy, jak sami widzicie, nie mógł się długo utrzymać. Sztuka potrzebuje poparcia, bo inaczéj upada. Ponieważ bardzo jest wątpliwem, żeby rząd neapolitański wspierał improwizatora, dla tego improwizacja znika pomału w Neapolu.

A tak rozkosz słuchania improwizacji, wymyka się już lazzaronowi. Dzięki Bogu ma dosyć jeszcze innych. Ma przeglądy wojsk i rewje, które król niegdyś co tydzień odbywał.

Jest bardzo miła i przyjemna rzecz dla oka, kiedy owa machina wojskowa, składająca się z jakich 40, lub 60 tysięcy ludzi, zaczyna funkcjonować, chociażby na paradzie. To też lazzaron, kiedy ją ujrzy w ruchu, klaszcze w ręce, kiedy usłyszy jéj muzykę biegnie w tę stronę, ale kiedy odbywa mustrę z ogniem, to ucieka co tchu, bo może przypadkiem zostać stempel w lufie. Widziano już takie rzeczy!..

Lazzaron ma dzwony, które wszędzie dzwonią a w Neapolu grają. Ulubionym instrumentem lazzarona są dzwony. Szczęśliwszy od Gildensterna, który nie chce Hamletowi zagrać na flecie, bo nie umie, lazzaron umie dzwonić chociaż się nigdy nie uczył tego. Jeżeli za długo odpoczywał i zachce mu się jakiéj roboty przyjemnéj i zdrowéj, to idzie do zakrystjana i prosi go, żeby mu pozwolił podzwonić przez kilka minut. Oczywiście dzwonnik chętnie na to przystaje, oddaje mu sznur a lazzaron dzwoni za niego i huśta się zarazem.

Ma przejeżdżający powóz, który go wozi gratis. W Neapolu żaden służący nie zgodziłby się na to żeby stał za powozem, a żaden pan nie zgodziłby się na to, żeby służący siedział obok niego. Z tego wynika, że służący siedzi zawsze obok stangreta a lazzaron włazi z tyłu. Probowano różnych sposobów żeby spędzić ztamtąd lazzarona, ale wszystko napróżno, utrzymał się na swojem stanowisku i zajmuje je spokojnie.

Ma teatr marionetek Puppi jak je nazywa. Prawda że lazzaron nie wchodzi nigdy wewnątrz, bo tam pierwsze miejsce kosztuje sześć su, drugie trzy, a parter kopiejkę. Żeby przywabić widzów, wystawiają u wejścia do teatru najważniejsze i najładniejsze puppi. Naprzód król Latinus w płaszczu królewskim z koroną na głowie, potem królowa Amata w całym przepychu, z przepaską na głowie, która ją potem udusi. Daléj pobożny Eneasz, z mieczem, który zabija Turnusa. Tu młoda Lawinia z koroną na głowie z kwiatu pomarańczowego W końcu Poliszynel, osoba bardzo ważna i komiczna, wieczny dyplomata, Talleyrand współczesny Mojżeszowi i Sezostrisowi Poruczono mu żeby utrzymał pokój między Trojanami i Latynami. Kiedy się przekonał że zadanie to stało się niemożliwem, włazi na drzewo, przypatruje się walce i schodzi dopiero na pogrzeb poległych. Oto co mu pokazują, temu szczęśliwcowi lazzaronowi! Niczego też więcéj nie pragnie, zna osoby, resztę sam sobie w myśli dopełni.

Ma Anglika! A, na śmierć zapomniałem o Angliku! Anglik jest dla niego coś więcéj niż improwizator, niż rewia, niż dzwony, niż puppi. Anglik bawi go i daje mu pieniądze. Anglik jest jego rzeczą: jego własnością. Za Anglikiem chodzi żeby mu ukraść chustkę, lub przed nim żeby mu pokazać drogę. Anglikowi sprzedaje ciekawości wszelkiego rodzaju i uczy go włoskiego języka. Anglik rzuca mu często w morze garść drobnéj monety, które ono dając nurka wydobywa. Jest nieodstępnym towarzyszem Anglika w wycieczkach do Puzzoti, Castellamare, Karpei i Pompei. Bo Anglik jest oryginałem naumyślnie — z wiedzą. Często oddala patentowanego przewodnika z numerem na czapce i na ramieniu, a bierze sobie pierwszego lepszego lazzarona. Widocznie Anglik ma pociąg do lazzarona, jak lazzaron do Anglika.

A trzeba prawdę powiedzieć, że lazzaron nie tylko jest wybornym przewodnikiem ale i nie złym doradzcą. Podczas mojego pobytu w Neapolu jeden lazzaron dał pewnemu Anglikowi trzy rady, które mu się paradnie przydały. Za te trzy rady zdobył sobie lazzaron dziesięć piastrów, za które mógł żyć spokojnie przez cały rok.

Rzecz tak się miała.

VIII

Lazzaron i Anglik.

W tym samym czasie, co ja, był w Neapolu pewien Anglik, stał nawet w tym samym hotelu co ja. Był to jeden z tych Anglików flegmatycznych, sztywnych i absolutnych, którzy wierzą że pieniądze są dźwignią wszystkiego, że pieniędzmi wszystko można zrobić i wszędzie się dostać, że pieniądze są najlepszym argumentem na wszystko. Anglik ów tak sobie rozumował.

Kiedy mam pieniądze mogę mówić co myślę, mogę dostać wszystkiego co chcę, mogę kupić wszystko czego pragnę. Jeśliby mi wystarczyło pieniędzy na zakupienie ziemi, tobym potem zatargował niebo.

Wyjechał z Londynu z tem słodkiem marzeniem i przyjechał prosto do Neapolu na statku parowym *Sfinx*. Chciał zaraz widzieć Pompeję, kazał sobie sprowadzić przewodnika, a ponieważ nie było przewodnika natychmiast, wziął sobie na towarzysza lazzarona. Zawinąwszy wczoraj do portu, Anglik doznał zaraz na wstępie przykrego zawodu: parowiec spóźnił się o pół godziny i passażerowie nie mogli wysiądź na ląd. Anglik przez całe sześć dni z Portsmut do Neapolu okropnie cierpiał na chorobę morską, to też zacny ten wyspiarz bardzo był markotny w téj przeciwności. Dla tego to ofirował kapitanowi 100 gwineów (600 r.) żeby go zaraz wysadził na ląd. Ale ponieważ rozkazy sanitarne są niezmiernie surowe, to kapitan w nos mu się roześmiał. Anglik położył się w bardzo złym humorze, posyłając do djabła rząd, który był tak dziwnym że śmiał wydawać i wykonywać takie prawa.

Dzięki ich naturze flegmatycznéj, Anglicy długo urazę pamiętają i są mściwi. Nasz Anglik nie mógł tedy strawić króla Ferdynanda, a ponieważ Anglicy nie mają zwyczaju ukrywać tego co myślą, to też idąc do Pompei wygadywał, co mu ślina do ust przyniosła, na króla i na rząd neapolitański i ile mógł nauczyć się po włosku z grammatyki Wergani'ego.

Lazzaron nie umie po angielsku, ale rozumie wszystkie języki, rozumiał też wszystko co Anglik gadał, a siedział w powozie obok niego, na zasadzie równości nowożytnéj. Jedyna różnica społeczna między Anglikiem i lazzaronem była ta, że Anglik szedł naprzód a lazzaron w tył. Dopóki jechali otwartym gościńcem, lazzaron słuchał cierpliwie złorzeczeń Anglika, bo lazzaron nie ma wyraźnéj politycznéj cechy. Można przy nim wszystko mówić na króla, na królowę, i na następcę tronu, aby tylko nie zaczepiać Madony, św. Januarego i Wezuwiusza, bo się wtedy zaraz gniewa.

Kiedy przybyli na ulicę Grobów, lazzaron słysząc że Anglik ciągle monologuje gorąco, położył palec na ustach na znak milczenia, ale Anglik albo nie zrozumiał znaku, albo uważał sobie to za ubliżenie, żeby usłuchać lazzarona, ciągle więc wymyślał na króla Ferdynanda.

— Przepraszam jaśnie pana! — odezwał się wtedy lazzaron, opierając się o krawędź powozu i jednym susem wyskakując z niego, przepraszam jaśnie pana, ale ja wracam do Neapolu.

— Dla czego ty *powracać* do Neapolu?

— Bo ja *nie mieć* ochoty wisieć! odpowiedział lazzaron, taką samą składnią jakiéj używał Anglik.

— A któż by to ośmielił się powiesić ciebie?

— Mój król.

— A dla czegoby powiesił ciebie?

— Bo pan nagadał na niego tyle brzydkich rzeczy.

— Anglikowi wolno jest mówić wszystko, co chcę.

— Lazzaronowi nie wolno.

— Aleś ty nic przecie nie mówił?

— Ale słyszałem wszystko.

— Lecz nikt nie wie żeś słyszał?

— Inwalid wie.

— Jaki inwalid?

— Inwalid, który nam będzie towarzyszył przy zwiedzaniu Pompei.

— Ja nie *chcieć* inwalid.

— A zatem *nie zwiedzić* Pompea.

— Nie. Ale ja *chcieć* zwiedzić Pompey bez *inwalid*

— Nie! to być nie może.

— *Zapłacić* grubo.

— Nie!

— Dwa, trzy, cztery razy więcéj.

— Nie, nie, nie!

— Oh! oh! wyrzekł Anglik i zamyślił się głęboko, lazzaron tym czasem usiłował się probować, czy nie przeskoczy przez własny cień.

— Już wezmę inwalida, rzekł Anglik po chwili.

— No! weźmy inwalida.

— Ale ja nie chcę zamknąć usta moje.

— W takim razie życzę jaśnie panu szczęśliwéj drogi.

— Żebyś *zostać, chcieć*, ja.

— To pozwól sobie jaśnie pan dać jedną radę.

— Daj radę.

— Ponieważ jaśnie pan nie chcieć milczeć, to weź przynajmniéj głuchego inwalida.

— Och! wyrzekł Anglik ucieszony dobrą radą. Wziąść głuchego inwalida. Oto masz trzy piastry, żeby znaleźć głuchego inwalida.

Lazzaron poszedł na odwach i przyprowadził inwalida, głuchego jak pień.

Rozpoczęło się oglądanie, w czasie którego Anglik używał sercu ciągle wymyślając na króla Ferdynanda. Inwalid nic nie słyszał, a lazzaron udawał że nic nie słyszy. Zwiedzono dom Diomida, ulicę Grobów, willę Cicerona i dom Wirgiliusza. W pokoju sypialnym tego ostatniego była freska bardzo erotyczna. Anglik zachwycił się nią i nikogo nie prosząc o pozwolenie usiadł na bronzowem krześle, wydobył album z kieszeni i zaczął rysować. Zaledwie ruszył ołówkiem inwalid i lazzaron zbliżyli się do niego. Inwalid chciał mówić ale go lazzaron uprzedził.

— Jaśnie panie! zabronionem jest robić kopię z fresków.

— Och! rzekł Anglik — ja *chcieć* robić kopię.

— Nie wolno.

— Ja *zapłacić* grubo.

— Nie wolno.

— Ja zapłacić dwa trzy, cztery razy więcéj.

— Nie wolno, nie wolno i nie wolno!

— Chcieć *ja rysować* koniecznie to głupstwo, żeby się miała z czego śmiać mylady.

— To inwalid wsadzić jaśnie pana do kozy.

— Anglikowi wolno jest rysować wszystko co chce.

I zaczął znowu rysować. Inwalid zbliżył się z groźną postawą.

— Za pozwoleniem jaśnie panie! odezwał się lazzaron.

— Mów mi!

— Czy jaśnie pan koniecznie chce przerysować ten fresk?

— Koniecznie.

— Zatem pozwoli jaśnie pan że mu dam inną radę. Trzeba wziąść ślepego inwalida.

— Och! zawołał jeszcze więcéj uradowany Anglik. Wziąść ślepego inwalida. Oto trzy piastry na ślepego inwalida.

— No, to wyjdźmy! ja pójdę po ślepego inwalida, a pan odprawi głuchego, rozumie się wynagrodziwszy go.

— Dać ja pieniędzy głuchemu.

Anglik wsunął ołówek w album a album w kieszeń, i wychodząc z domu Wirgiljusza zaczął czytać różne napisy znajdujące się zewnątrz. Lazzaron tymczasem pobiegł na odwach i przyprowadził inwalida ślepego, którego prowadził ładny i mądry pudel. Anglik chciał natychmiast wrócić do domu poety, ale mu lazzaron wytłomaczył, że trzeba obejść z daleka żeby uniknąć wszelkiego podejrzenia. Ruszyli: pies naprzód, bo znał Pompeę lepiéj niż nie jeden antikwaryusz, za nim inwalid, za inwalidem Anglik a lazzaron na ostatku. Zwiedzili kuźnię, potem dom Fortunaty i łazienki publiczne. Ci co byli w Pompei wiedzą dobrze, że na tych łazienkach jest bardzo szczególny szyld z palonéj gliny, pod którym stoi napis. *Hic habitat felicitas* — tu mieszka szczęśliwość.

— Och! zawołał Anglik — w Pompei domy numerowane! Oto N. 1. A po cichu do lazzarona. Chcieć ja wyrysować N. 1. żeby się śmiać mylady.

— Rysuj pan, a ja zabawię inwalida.

Rysunek był w kilka minutach skończony.

— *Bardzo kontent!* rzekł Anglik — ale chciałbym powrócić do domu poety.

— Kastor! krzyknął inwalid — czy słyszysz? do domu poety!

Kastor wrócił się, wszedł bez wahania do domu Wirgiliusza. Lazzaron rozmawiał z inwalidem a Anglik rysował sprosne bardzo sceny.

— Och! *bardzo kontent, ja!* Ale chciałbym jeszcze więcéj!

— Pójdźmy szukać daléj.

Wszyscy wiedzą że fresków w tym guście wiele jest w Pompei. Anglik więc mógł sobie zebrać niezłą kollekcję, starożytni mieli pod tym względem bujną i rzutną wyobraźnię. Nie długo przybyli do nowego odkopaliska. Jak się zdawało był to dom jakiegoś bogacza, bo znaleziono w nim mnóstwo statuetek bronzowych i różnych drogich rzadkości, które zaraz przenoszono do stojącego obok składu.

Anglik wszedł do tego zaimprowizowanego muzeum i zatrzymał się przed małą statuą przedstawiającą satyra, wysoką na sześć cali, a jednak posiadającą wszystko wyraźnie, co mytologia przyznała satyrom.

— Och! zawołał Anglik, ja chcieć kupić tę statuetkę!

— Król neapolitański *nie chcieć* jéj sprzedać! odpowiedział lazzaron.

— Zapłacę za nią dużo, aby tylko rozweselić mylady!

— Powiedziałem jaśnie panu, że nie jest do sprzedania.

— Zapłacę dwa, trzy, cztery razy więcéj!

— Za pozwoleniem! — odezwał się lazzaron po cichu. Dałem jaśnie panu już dwie rady, które wcale nie zaszkodziły. Dam panu jeszcze jedną i ostatnią: nie kupuj statuetki, ukradnij ją.

— Och! Och! masz słuszność ty! Oryginale!.. A do tego inwalid ślepy.

— To prawda! ale jest Kastor, który ma dobre oczy i szesnaście wybornych zębów, któremi, jakbyś się pan tylko dotknął jakiego przedmiotu, uchwyci pana za gardło.

— Dać gałkę zatrutą Kastorowi.

— Lepiéj będzie, wziąść sobie inwalida kulawego. Ponieważ już pan wszystko widział, to schowasz statuetkę do kieszeni i co tchu w nogi. Będzie krzyczał, ale my będziemy już daleko, a nikt nas nie zna.

— Och! rzekł Anglik — famos! Dam cztery piastry za inwalida kulawego.

Kiedy lazzaron poszedł szukać inwalida kulawego, Anglik żeby nie obudzić podejrzenia Kastora, wyszedł ze składu i przypatrywał się fontannie wyłożonéj muszlami. W kwandrans potem powrócił lazzaron z inwalidem na szczudłach; zapłacono zaraz inwalida ślepego i Kastora i udano się dla omylenia straży, obejrzeć jeszcze to i owo. Nagle Anglik oświadczył że chciałby widzieć miejsce. gdzie przechowują wszystkie te wykopaliska. Inwalid zaprowadził go do małego muzeum, gdzie wszystkie te ciekawości poustawiane były na drewnianych półkach i wcale nie zamknięte.

Kiedy Anglik chodził, obracał się, oglądał, nie spojrzawszy ani razu na satyra, lazzaron tymczasem bawił się zawiązaniem sznura przez całą szerokość drzwi na dwie stóp wysoko. Kiedy sznur był już dobrze przymocowany dał znak Anglikowi, który schował statuetkę do kieszeni i kiedy inwalid zdumiony, wytrzeszczył na niego oczy, przeskoczył przez sznur i razem z lazzaronem, co mógł wyskoczyć, uciekał przez bramę Stabio. Na drodze do Salerno spotkał karrikolo, wsiadł w niego i w dwie godziny potem wjeżdżał już przez Grecką bramę do Neapolu.

Co się tyczy inwalida, ten chciał zrazu przeleźć przez sznur, ale żadne szczudło nie mogłoby tego dokazać. Probował więc odwiązać sznur, ale lazzaron był w wolnych chwilach rybakiem i umiał robić węzeł żeglarski, który jest istnym węzłem gordyjskim. To też jak Aleksander wielki inwalid chciał swoją szablą rozciąć węzeł, ale pokazało się że jego szabla nie rozciełaby nawet nitki, musiał się poddać.

Tego samego wieczoru Anglik na porowcu *Król Jerzy* puścił się na morze, a lazzaron ukrył się między swojemi braćmi. Tym sposobem Anglik dokonał trzech rzeczy najbardziéj zabronionych w Neapolu. Obgadał króla, przekopjował freski i ukradł statuetkę — nie siłą pieniędzy, ale przebiegłością lazzarona.

Nie jeden zapewne powie, że jedna z tych rzeczy jest prostą kradzieżą. Odpowiem na to, że lazzaron jest przedewszystkiem złodziejem, to jest ma swoje własne wyobrażenie o własności, i nie chce ani słyszeć o tem w co inni powszechnie wierzą. Lazzaron nie jest złodziejem, jest zdobywcą, nie ogałaca a bierze, jak Spartańczyk. Ci tylko są złodziejami podług jego zdania, którzy się pozwalają schwytać. Dla tego, żeby się nie dać złapać, lazaron łączy się czasem z policjantem. Policjant w Neapolu jest poprostu lazzaronem, uzbrojonym przez prawo. Ma fizjonomię straszną, nosi karabin, parę pistoletów i pałasz. Jest on zbirem, czyli nocnym stróżem publicznego bezpieczeństwa, do pomocy patrolom. Jeżeli taki zbir jest w porozumieniu z lazzaronem, to kiedy patrol przejdzie, on się chowa a lazzaron kradnie. Po spełnieniu kradzieży zbir się pokazuje i dzielą się zdobyczą jak bracia.

Trafia się jednak często, że zbir okradnie lazzarona, a lazzaron oszuka zbira. Biedny ten świat tak się już popsuł, że nie można zaufać niczyjemu sumieniowi, nawet między oszustami.

Rząd wie o tem i chcąc zaradzić złemu zmienia często zbirów po cyrkułach, Trzeba znowu robi nowe znajomości, zakładać nowe spółki. Zbir za czaja się na Chiaja, Toledo lub Forcella i jeżeli chce to zaraz téj saméj nocy może zawrzeć nowe handlo we stosunki. Lazzaron, jak wiadomo, nie ma kie szeni a zatem trzyma zawsze ręce w obcych kiesz niach. Łatwo go złapać na gorącym uczynku, wte dy poznaje się ze zbirami i spółka zaraz się z wiera.

Czasami jednak, jak powiedziałem, zbir nadużywa swéj władzy a lazzaron swéj przebiegłości.

(d. c. n.)

Opisy do numeru 1, 2 i 3 znajdują się na arkuszu z krojami.

N. 4 i 5. Barbka z szydełkowéj roboty i ściegu koronkowego. Czwarta część barbki wraz z ząbkami Fig. 38 w dodatku z krojami. Ma-



N. 1. Kaftanik wcinany z wykładanym kołnierzem. Przód. Krój na arkuszu z krojami N. XI, Fig. 29 do 32.



N. 4. Barbka szydełkowa z kratkami koronkowemi i szlaczkiem robionym na widełkach. Zob. N. 5. Krój na arkuszu z krojami N. XV Fig. 38.



N. 3. Kapturek do ryc. 25. Krój na dodatku z krojami N. 1. Fig. 1—2.

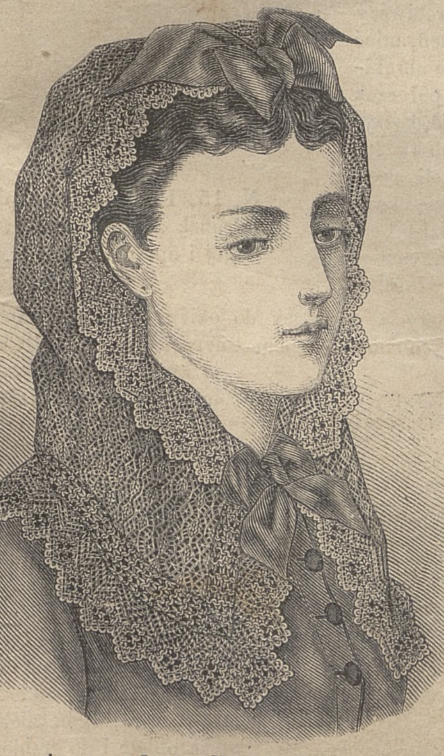


N. 2. Kaftanik wcinany. Plecy. Krój na arkuszu z krojami. N. XI. Fig. 29—32.

terjał: cienki czarny jedwab lub bawełna na kłębuszkach N. 100, ząbki z plecionki 1 c. szerokie. Przezroczyste gałązki z liści dwojakiéj wielkości, robionych w połączeniu i przyozdobionych kratką koronkową, układa się na barbkę podług wzoru naturalnéj wielkości, podanego w N. 40 Tyg. Mód rycina 18, obrobiwszy każdy medaljon ząbkami z tasiemeczki lub szlaczkiem robionym na widełkach. Przy barbce z czarnego jedwabiu, szlaczek na widełkach jest najwłaściwszy. Każda gałązka liści zaczyna się od strony ogonka 25 l. o., złączonemi w okrąg, koło któ-



N. 6. Fartuszek z rękawami dla małéj dziewczynki. Krój w dodatku N. II Figura 3 do 6.



N. 7. Zarzutka na głowę. Przód. Robota na drutach. Próbka roboty w N. 40 Ty. ryc. 26—28.

rego obrabia się raz oczkami ścisłemi, dodając tylko na czubku liścia pikot z 4 l. o., za który po skończeniu, gałązka łączy się ze szlaczkiem. Odrobiwszy 2 przeciwległe liście, daje się 10 o. l. na łodyżkę; poczem dwa następne liście robią się i łączą pół słupkiem z poprzedzającemi. Gdy już cała 7-o listna gałązka jest skończona, przyozdabia ją się kratką na rycinie 18 w N. 40 Tygodnika podaną lub inną odpowiednią. Wzór składa się z 16 takich gałązek i z 4-ch dużych każda z 13 liści złożonych. Te ostatnie stanowią środek całéj barbki. Rycina 4 i 5 w N. 41 Tyg. wskazują sposób połączenia pojedynczych gałązek i upięcia barbki na głowie. Ryc. 16 w N. 40 przedstawia jeden taki medaljon, użyty do krawatki.

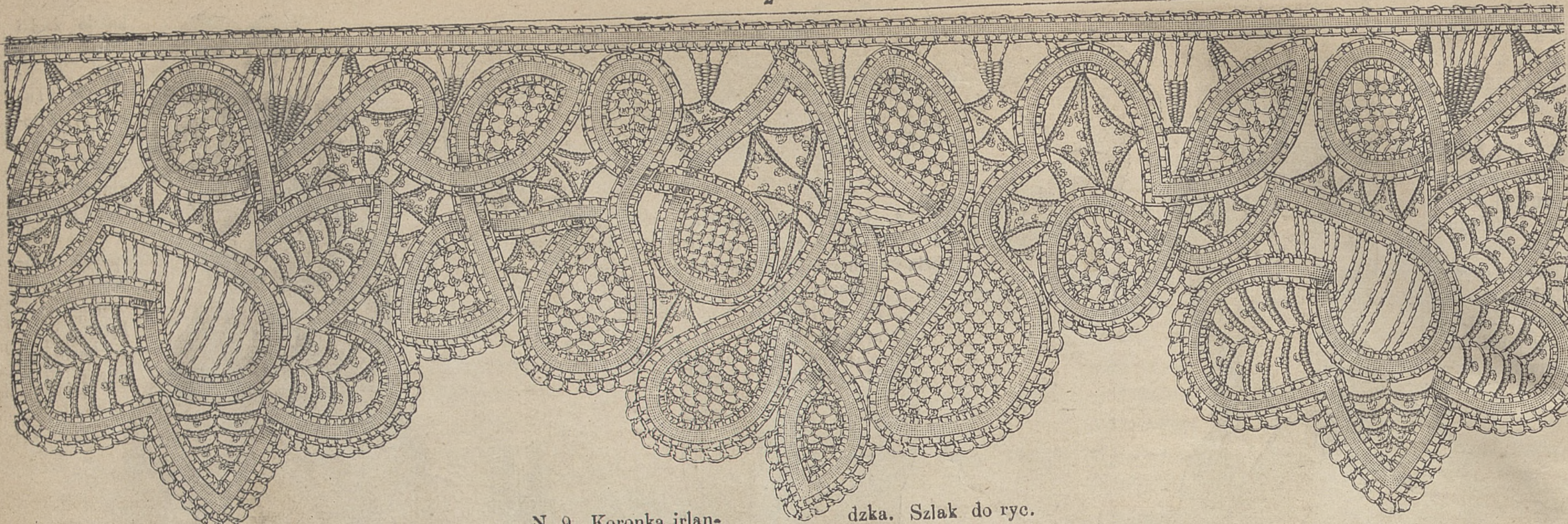
N. 7—8. Zarzutka na głowę. Robota na drutach. Próbki ściegów w N. 40 Tyg. rycina 26 i 28. Rysunek 7—8 podaje z przodu i z tyłu zarzutkę na głowę, która odrobiona z nici cienkich stanowić może ubranie na lato, zaś z włóczki niekręconéj lub angielskiéj, białéj czy kolorowéj stanowi ciepłe i strojne zimowe okrycie głowy. Przedni brzeg zarzutki jest zupełnie prosty i ma 128 c. długości; strona tylna ku brzegom zwężona, ma w zaokrąglonym środku 25 cent. szer. a w końcach 15. Szlak przyszywa się gładko z tyłu, a w rogach nadmarszcza; z przodu ten sam deseń zwęża się w ten sposób, iż w środku zamiast 9 daje się tylko dziurek cztery, co już podług podanego wzoru łatwo wykonać, gubiąc zaraz po zrobieniu dwóch dziurek.



N. 5. Barbka szydełkowa i kołnierzyk z irlandzkiéj koronki. Zob. ryc. 21 w N. 40 Tyg. Krój i opis kołnierzyka na arkuszu z krojami N. VI Fig. 19.



N. 8. Zarzutka na głowę. Tył. Próbka roboty. N. 40 Tyg. ryc. 26—28.



N. 9. Koronka irlandzka. Szlak do ryc. 20 w Tyg. Mód N. 40 i do ryc. 5.

N. 9. Koronka irlandzka, robota ręczna. Szlak do ryc. 20 N. 40 Tyg.

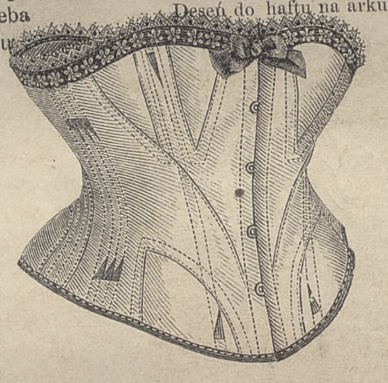


N. 10. Torebka ręczna. Haft kolorowy i robota fantazyjna. Deseń do haftu na arkuszu z krojami Fig. 42.

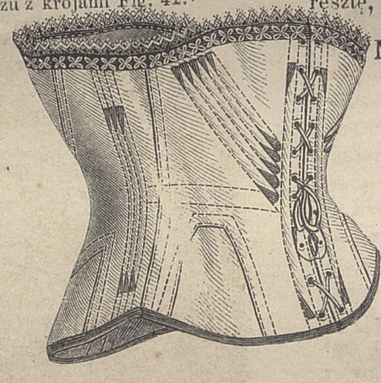
N. 10. Torebka ręczna. Haft kolorowy i robota fantazyjna. Deseń na dodatku Fig. 42. Materjał: Kawałek kanwy z podziałkami, 30 c. długi a 20 szeroki, słomka pleciona, którą kupuje się w fabryce kapeluszy słomkowych, (szerokość plecionki powinna przykrywać dwie nitki kanwy), sukno brązowe w dwóch dobrze mieniących odcieniach, kawałek materji i wstążka 2 cen. szeroka w najciemniejszym cieniu brązowym. Kordonki brązowe do cieniu.

Pojedyncze plecionki słomy, układa się jedna przy drugiéjw poprzek na kanwie, do któréj brzegów, trzeba dobrze zamocować ich końce. Na samym zaś środku plecionki te są białym jedwabiem do kanwy przy stębnowane. Na wierzch daje się paski 3 i pół cent: szerokie, haftowane kolorami, na suknie brązowym, których brzegi zakończone są wąziutkiemi paskami sukna jaśniejszego, w ząbki wyciętemi i przymocowanemi do poprzedzających ściegiem cierniowym.

Paski haftu tylko w górze są przymocowane do woreczka, na którym stanowią luźne przepięcia.



N. 11. Gorset. Przód. Krój i opis w dodatku N. IV. Fig. 10—16.



N. 12. Gorset. Plecy. Krój i opis w dodatku N. IV. Fig. 10—16.

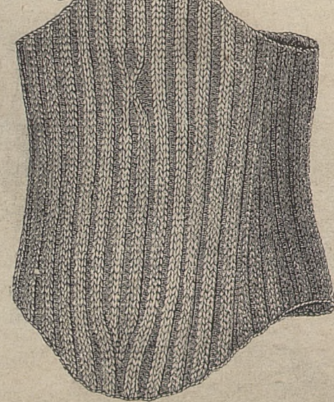


14. Fartuszek z napierśnikiem, szyty pliskami. Krój na arkuszu z krojami N. XIII. Fig. 36.

Uszy woreczka stanowią podwójne paski sukna 2 c. szerokie, ściegiem cierniowym wyszyte. Pasek materji jedwabnéj lub wełnianéj, 7 c. szeroki, którego jeden brzeg przyszywa się gładko do woreczka, drugi zeszywa środkiem i przymarszcza podług wzoru, stanowi boczne suflety.

Riusza ze wstążki otacza brzegi woreczka; do zapinania służy guzik czarny i uszko z elastyki, przy którem przyszyty jest kwast jedwabny.

N. 11 i 12. opisany w dodatku z krojami.



N: 13. Pas włóczkowy. Robota na drutach.

N. 13. Pas włóczkowy. Robota na drutach.

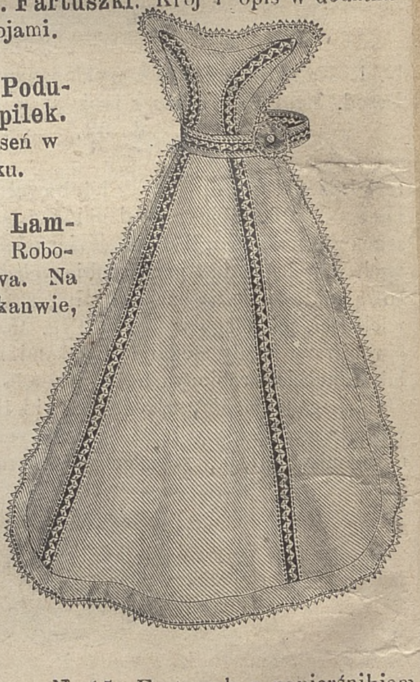
Pas ten wokoło zamknięty zaczyna się robić od części przedniéj na oczek 26, od górnego brzegu. Robota idzie tam i na powrót, zawsze 2 ♂. kręc. i 2 gł. w początkowych 23 obrobieniach, na początku i końcu każdego druta, przybiera się 1 oko, ażeby po skończeniu 23 rzędów było na drucie oczek 72. Poczem z każdego brzegu dodaje się nowo zaczętych 35 oczek, i daléj robi przez tę całą szerokość wkoło. Przy szóstem obrobierać stopniowo, jednocześnie z obydwóch stron po 2 o. na klin dolny, zważając żeby klin stroną rozszerzaną zwrócony był ku tyłowi.

Zarazem jak to widać na rysunku przybiera się kilka oczek stopniowo na środku przodu. Przybieranie na klin powinno mieć miejsce, mniéj więcéj co 6 obrobień. Gdy dojdziemy do 137 obrobień, to 66 środkowych oczek z tyłu zakończy się luźno łańcuszkiem. Z pozostałych na drutach, gubi się jedno oko na początku i na końcu. Gdy część środkowa, licząc od oczek zaczęcia, dojdzie 154 obrobień, gubi się jeszcze 4-y razy po 2 oczka w środku, dając między zgubieniami cztery obrobienia, a pozostałą resztę, zakończa luźno.

N. 14 i 15. Fartuszki. Krój i opis w dodatku z krojami.

N. 16. Poduszka do śpilek. Krój i deseń w dodatku.

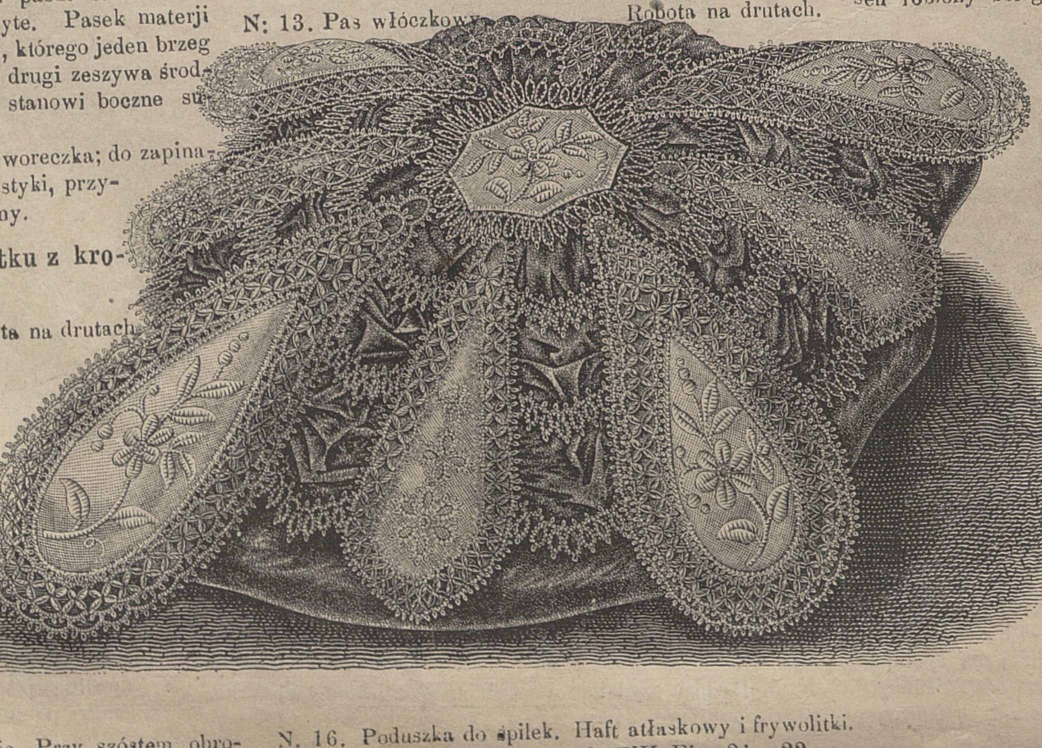
N. 17. Lambrekina. Robota krzyżowa. Na cienkiéj kanwie, angielskiemi włóczkami odrobiwszy podany deseń, mieć będziemy lambrekinę do półeczek przy ścianie, koszyków od roboty lub t. p. Jeżeli weźmiemy grubą kanwę i włóczkę berlińską, otrzymamy szerokość właściwą do oszycia poduszek do okien. Nakoniec tenże sam deseń robiony ściegiem smyrneńskim, to jest osiem nitek w kwadrat, powiększy się o tyle, że służyć będzie mógł na lambrekinę do okien lub portiery.



N. 15. Fartuszek z napierśnikiem garnirunek z ząbków. z tasiemeczki. Krój i opis N. III. Fig. 7—8.

N. 18 i 19. Teka na fotografje, notatki itd. Materjał: drobno dziurkowana kanwa skórzana w dwóch kolorach, filozela i wstążka kolorowa (2 c. szeroka), biała tektura, gumma płynna. Dwie tabliczki tektury 19 i pół cent. szerokie a 25 i pół c. długie, zieloną wstążką objęte i do grzbietu teki krytym ściegiem przyszyte, stanowią mocną podstawę boków, z wierzchu kanwą żółtawą skórzaną pokrytych. Przyozdobienie składa się z aplikacji czarnéj skórzanéj kanwy i wyszycia zieloną filozelą. Zrozumiałą i dokładną próbkę roboty, przedstawia narożnik prawie naturalnéj wielkości, pod N. 19 podany.

Podług wzoru narożnika łatwo będzie kwadrat środkowy ułożyć. Wyszytą kanwę przy-

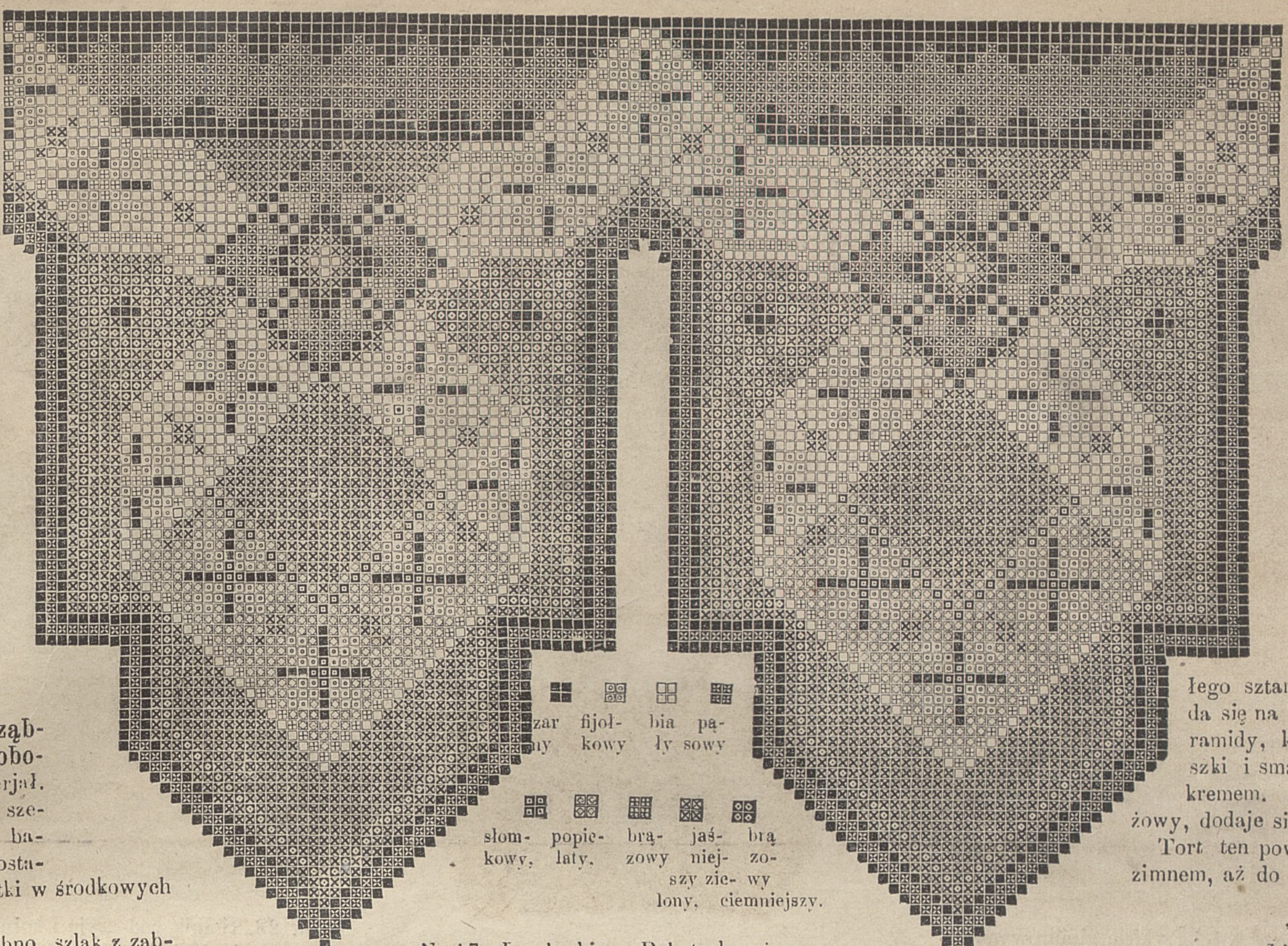


N. 16. Poduszka do śpilek. Haft atłaskowy i frywolitki.
[illegible] N. VIII. Fig. 21—22.

kleja się równo i gładko, do brzegów wstążki, którą tektura jest objęta, a do wiązania wkleja się wstążki zielone.

N. 20. Szlak wyszyty sznelą na kanwie. Do przyozdobienia wałka pod głowę, koszyczka do robót i. t. p.

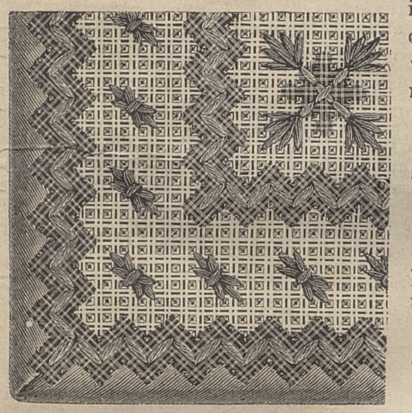
Grubość kanwy właściwą do téj roboty, oznacza rysunek 20. Do wyszycia użyte są dwa cienie jednego koloru, a ścieg jest półkrzyżowy, przez cztery nitki w kwadrat. Tylko środkiem odznaczone kwadraty robią się całym krzyżykiem kordonkiem grubym, koloru maisowego, który dobrze odbija od wszystkich kolorów żywych.



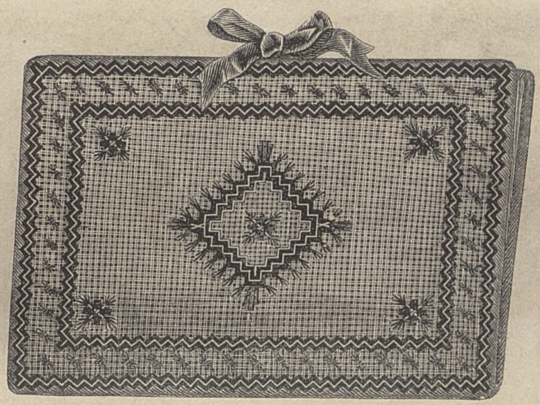
N 17. Lambrekina, Robota krzyżowa.

N. 21. Patarafka z ząbków z tasiemeczki i roboty szydełkowéj. Materjał. Ząbki z tasiemeczki 1 c. szerokie, estramadura. N. 10, bawełna kręcona N. 100, ta ostatnia użyta jest tylko na kratki w środkowych kwadratach.

Najpierw układa się osobno szlak z ząbków z bawełnianéj tasiemeczki, który powinien mieć 8 i pół c. szerokości i liczyć 25 zębów. Przy układaniu koła zachować potrzeba konieczną regularność i staranność poczem pierwszy wewnętrzny rząd szydełkowy zaczyna się pół słupkiem w środkowy ząbek wygięcia, poczem 11 o. l., 1 sł. 3 razy okręcony w ząbek następny, 1 słupkiem poczwórnym łączy się dwa naprzeciw siebie będące ząbki, znów sł. potrójny w ząbek następny, 11 o. l. przyrobionych pół słupkiem w ząbek środkowy i tak aż do końca. Przeprowadziwszy nitkę do środka ząbka, zaczyna się rząd następny, 5 o. l., przyrobionemi 1 o. ści. z ząbek oznaczonego na rysunku koła z tasiemeczki, znów 5 o. l. przyrobionych o. śc. w środek przeciwległego ząbka itd. Dla zmniejszenia okręgu potrzeba opuszczać ciągle co trzeci ząbek z tasiemeczki. Środek koła odrabia się osobno.



N. 19. Narożnik do teki N. 18.

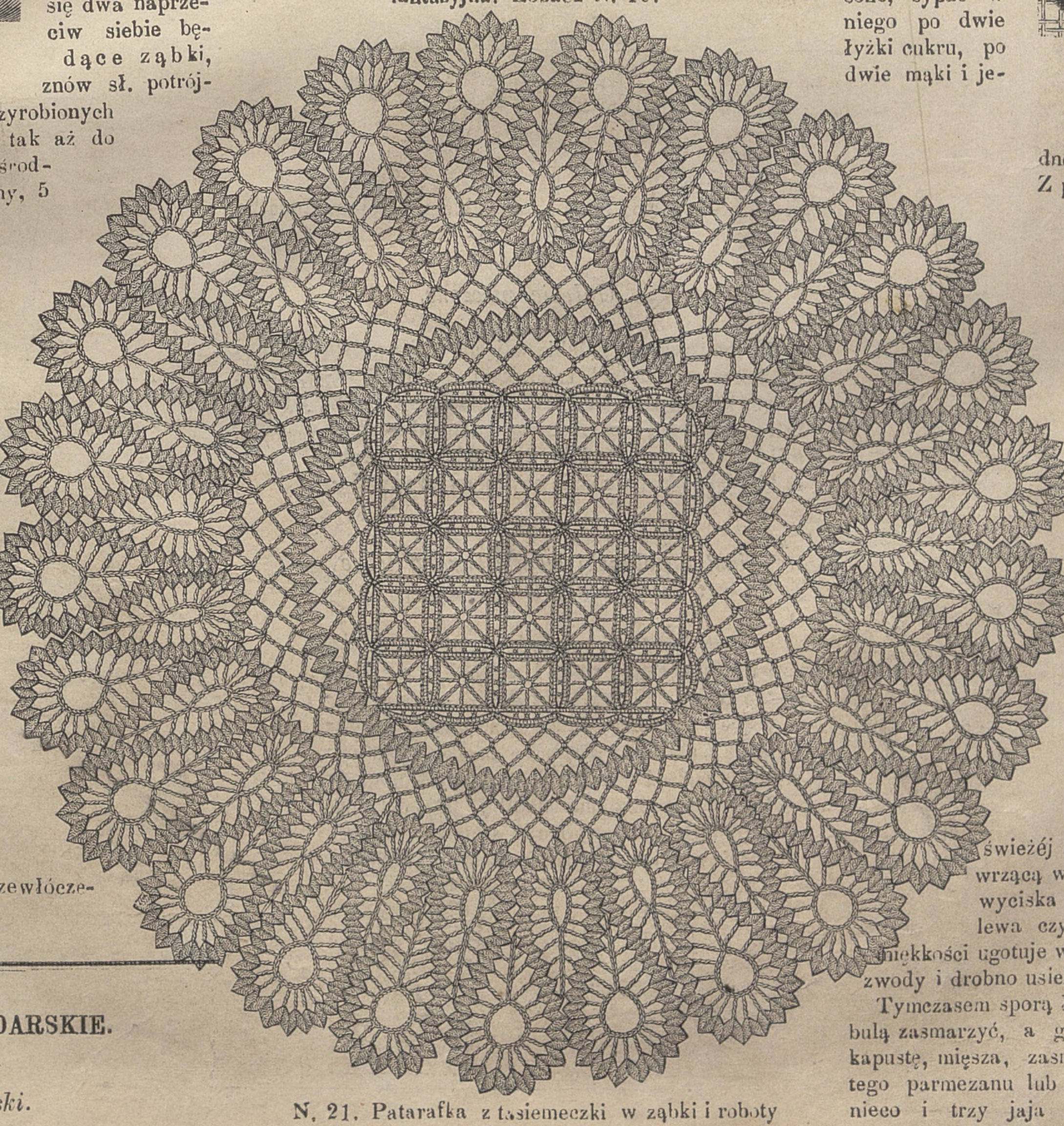


N. 18. Teka na fotografie, notatki i t. p. Robota fantazyjna. Zobacz N. 19.

Dwa rzędy ząbków z l. o. zapełniają próżnią między ścianami kwadratu, a kołem z ząbków.

Opisy do rycin 22—26 na dodatku z krojami.

N. 27. Deseń na szlaczek haftowany do bluzek, poszewek, sukienek dziecinnych i t. p. Powyższy szlaczek można zarówno wyhaftować bawełną białą na tle białym, jako też na tle białym lub écru odrobić bawełną lub włóczką kolorową. Poprzeczne nacięcia do przewłóczenia wstążki, trzeba odziergać.



N. 21. Patarafka z tasiemeczki w ząbki i roboty szydełkowej.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Tort hiszpański.

Wziąść od dziesięciu jaj białka i ubić jak najtęższą pianę, aby po przewróceniu półmiska lub garnka w któréj się ubijała nie zleciała i wymięszać z miałko utłuczonym cukrem, którego być powinno 3 ćwierci funta. Układać na papier lub blachy, masłem wysmarowane w kształcie okrągłych placków, począwszy od większych do najmniejszych, wstawić w wolny piec, a gdy się przyrumienią wyjąć aby wystygły.

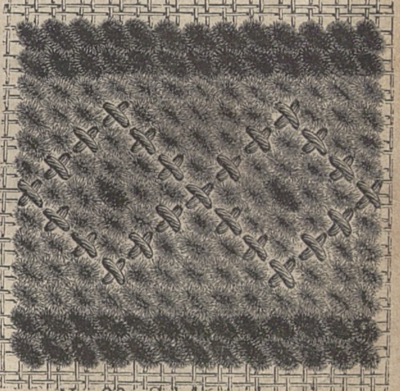
Osobno ubija się w miejscu zimnem młoda śmietana z waniliją, cukrem i kwaterką doskonałego sztamu. Warstwami układa się na półmisku w formie piramidy, kładąc rzędami placuszki i smarując śmietaną czyli kremem. Chcąc mieć krem różowy, dodaje się trochę alkiermasu.

Tort ten powinien stać w miejscu zimnem, aż do wydania na stół.

Tort z mąki kartoflanéj.

Masła młodego niesolonego 1 i ¼ funta uciera się w donicy z ośmioma żółtkami, przez całą godzinę, do tego dodaje się cukru 3 ćwierci funta, funt niespełna mąki kartoflanéj bo się odejmuje dwie łyżki, soku z jednéj cytryny, skórki z niéj obtartéj na cukrze i białka z ośmiu jaj na pianę mocno ubitych.

Najlepiéj jak masło już uwiercone, sypać w niego po dwie łyżki cukru, po dwie mąki i jednem żółtku, wiercąc bezustannie. Z pianą mięsza się naostatek i zaraz w piec wstawia. W braku formy miedzianéj, można uszyć z grubego papieru, wysmarować masłem i ustawić na blasze. Po upieczeniu, niech tort w formie wystygnie, dopiero go trzeba lukrować, ubierać konfiturami i jeszcze raz w wolny piec wstawić.



N. 20. Szlak na kanwie wyszyty sznelą. Do przyozdobienia wałka pod głowę, koszyczka do robót i t. p.

Placki kapuśniakami zwane.

Wziąść kwartę mąki pięknéj, mleka letniego słodkiego kwaterkę dobréj miary, drożdży świeżych łyżkę, tyleż masła i jaj trzy. Zrobić z tego ciasto wolne i postawić w cieple, a gdy wyrośnie dodać resztę mąki przerobić dobrze, porobić placki okrągłe, niewielkie, cienko ułożone na blasze i ponakładać kapustą, która się wprzód tak urządza. Bierze się kilka główek świeżéj kapusty, przekrawa na pół i sparza wrzącą wodą; z wody téj dobrze się kapusta wyciska wkłada do garnka lub rondla i nalewa czystą gotującą się wodą; gdy się do miękkości ugotuje wyjąć na durszlak, osączyć zupełnie z wody i drobno usiekać.

Tymczasem sporą łyżkę masła, z drobno usiekaną cebulą zasmarzyć, a gdy zżółknie kładzie się usiekaną kapustę, mięsza, zasmarza razem i dodaje troszkę tartego parmezanu lub owczego sera, pieprzu tłuczonego nieco i trzy jaja ubite, wymięszać znowu należycie i poukładać na przygotowane placki, które gdy

wyrosną posmarować trzeba rozbitem jajkiem. Kapuśniaki pieką się w miernie gorącym piecu; na stół daje się do nich młode masło



N. 22. Stanik pod szyję z kołnierzykiem gipiurowym. Forma i deseń na kołnierzyk, na arkuszu z krojami N. VII Fig. 20.

przesmarzone. W braku świeżéj kapusty użyć można kwaśnéj, sera krowiego tartego, parę łyżek gęstéj śmietany, trzy lub cztery jaja, uwiercić to wszystko w donicy jak najdoskonaléj, wziąść także dwie cebule usiekać drobno, przesmarzyć w maśle, dodać pieprzu, wymięszać jak wyżéj powiedziano, ponakładać placki i upiec.

Mazurki z jabłek.

Funt cukru nalać półtorą filiżanki wody, zagotować, wyszumować i zrobić syrop, do którego włożyć dobrych, obranych kwaskowych jabłek funtów dwa, pokrajanych w drobne kawałki, wybrawszy środki. Wymięszać dobrze z syropem i smarzyć nieustannie mięszając. Dodać do tego pół funta drobno pokrajanéj cykaty, migdałów pół funta obranych i drobno usiekanych, wcisnąć sok z całéj cytryny i skórki utartéj z téjże wsypać, gdy się massa zasmarzy jak gęste powidła, kłaść na opłatki lub na ciasto kruche na sposób tortu, polukrować dopóki ciepłe i postawić w letnim piecu aby obeschły i ciasto stężało.



N. 24. Stanik pod szyję z karoczkiem. Krój na dodatku N. X Fig. 26—28.

Gołębie pieczone.

Po oczyszczeniu gołębi, odjęciu szyi i główki podnosi się skóra na piersiach i nadziewa następną mięszaniną: wziąść kilka łyżek bułki tartéj, masła surowego, jaj parę łyżkę śmietany, muszkatową gałkę tłuczoną, odrobinę soli i cukru jeżeli kto lubi; tak nadziane gołąbki pieką się na rożnie obwinięte młodą słoniną.

Ciastka paluszki zwane bardzo dobre i długo konserwujące się.

Trzy kwaterki masła kładą się do rondla, nalewają zimną wodą i wyrabiają wałkiem lub łyżką. Gdy się już dobrze wyrobi, wyłożyć na stolnicę, dodać dwie kwarty i kwaterkę mąki dolać kwaterkę mleka, funt miałkiego cukru i wyrobić ciasto dosyć wolno, żeby tylko przez zimno stężało. Później robią się z tego ciasta wałeczki długości ćwierćłokciowéj lub obarzanki, smarują jajkiem posypują cukrem i migdałami. Ułożyć je trzeba na blachę wysmarowaną klarowanem masłem i piec w niezbyt gorącym piecu.



N. 23. Stanik pod szyję i kołnierzyk z wywiniętemi rogami. Krój i opis na dodatku N. V. Fig. 17—18.

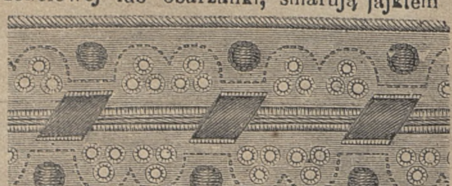
KORESPONDENCJA.

Prenumeratorce z Lubaru. Do przesyłającego się pisma w kopertach, Zarząd pocztowy niedozwala załączać kanwy, włóczek, paciorek i t. d. żądaniu zatem Pani zadosyć uczynić nie możemy.

Pani J. Schle. Płaszczyk o jaki się zapytywano kosztuje rs. 35. Paletocik syberynowy dostać można od rs. 18.



N. 25. Płaszczyk od deszczu. Forma i opis na arkuszu



N. 26. Deseń na szlaczek haftowany do bluzek,



N. 27. Beduina. Krój na arkuszu z formami N. IX